

Wojciech Eichelberger

Zdradzony przez ojca

Spis treści

Od Autora - 3

Od Wydawcy - 3

Smutna historia Małego Chłopca - 3

O ojcu, który nie dał rady - 6

Spadek po ojcu - 8

„Zniszczę cię” - 8

„Matka jest ważniejsza od ciebie” - 9

„Podziwiał mnie” - 9

„Nie chcę cię” - 10

Manowce inicjacji - 11

Strategie przetrwania - 13

Wieczne dziecko, czyli „zostaję z mamą” - 14

Don Juan, czyli „boję się tej jednej” - 14

Playboy, czyli „wolę się bawić niż się bać” - 15

Uzurpator, czyli „zęby się tylko nie wydało” - 16

Inkwizytor, czyli „to wszystko przez nią” - 16

Macho, czyli „im ona gorsza, tym ja lepszy” - 18

Gej, czyli „niech jakiś mężczyzna mnie pokocha” - 19

Wyznawca, czyli „to Bóg jest moim ojcem” - 20

Mnich, czyli „zostaję sam” - 21

Gniew matki - 22

Gniew wyparty - 23

Gniew nadopiekuńczości - 23

Gniew wprost - 24

Odchodzenie od matki - 24

Jak pomóc synowi - 26

Od Autora

Motywacją do napisania tej książki jest chęć przyjscia z pomocą mężczyznom, mnie samego nie wyłączając.

Losom mężczyzn przyglądam się od lat z perspektywy gabinetu psychoterapeuty, ale jestem pewien, że dzięki temu dostrzegam lepiej to, co dzieje się dziś z mężczyznami w ogóle.

W wyniku gwałtownych zmian w naszej kulturze i obyczajowości, mężczyźni są nie mniej zagubieni i przeciążeni niż kobiety. W książce mówię o niektórych przyczynach tego zagubienia, z których najważniejszą jest załamanie procesu przekazu pozytywnego wzorca męskości pomiędzy ojcem a synem.

Nie jest to książka napisana przeciwko kobietom. Coraz częstsza nieobecność ojców w rodzinach to fakt dokonany, przed którym matki są stawiane i muszą jakoś sobie z tym poradzić. Z pewnością radzą sobie najlepiej, jak mogą. Należy im się hołd i wdzięczność za to, że biorą na siebie odpowiedzialność za porzuconych synów, ratując im życie i umożliwiając psychiczne przetrwanie. Niestety, mimo największych starań i najlepszych chęci, nie są w stanie zastąpić synom ojców.

Ta książka nie została napisana przeciwko komukolwiek. Jej celem jest ostrzeżenie przed negatywnymi psychologicznymi i obyczajowymi konsekwencjami nieobecności ojca w rodzinie. Mam nadzieję, że okaże się ona pomocna zarówno mężczyznom, którzy chcą lepiej zrozumieć siebie, jak i kobietom, które chcą lepiej zrozumieć mężczyzn.

Wojciech Eichelberger

Od Wydawcy

We wrześniu 1997r, wkrótce po ukazaniu się „Kobiety bez winy i wstydu”, Autor zaczął pisać książkę o mężczyznach i męskości. Jestem pełen podziwu dla Jego umiejętności ujęcia w zwięzłej i uporządkowanej formie tak szerokiej wiedzy na ten temat.

Dzięki tej książce poznałem wiele doniosłych i głębokich prawd. Nie, które z nich przeczuwałem wcześniej w głębi duszy, ale wiele było dla mnie istotnym i nowym odkryciem. Pewne przedstawione tu stwierdzenia dopiero po dłuższym czasie zacząłem odnosić do siebie.

Odkrywanie prawdy na swój temat może być bolesne - choćby, dlatego, że nie pozwala pozostać bezczynnie w wygrzanym miejscu w życiu. Autor udziela wyraźnych rad pozwalających wyruszyć w drogę ku zmianom. I daje nadzieję, że warto.

Czytanie tej książki jest jakby słuchaniem intymnej rozmowy mężczyzn o sobie i swoich problemach. Tym łatwiej wczuć się w jej atmosferę, że Autor, pisząc o mężczyznach, używa zaskakująco głęboko wnikażącej w serce formy „my”.

Zapraszam do lektury drugiego tomu trylogii: *Kobieta, Mężczyzna...*. Czekamy na tom trzeci.

Marek Rycko

Smutna historia Małego Chłopca

Poniższy scenariusz przedstawia uproszczony przebieg wydarzeń w życiu chłopca, opuszczonego przez ojca i w konsekwencji uzależnionego od matki. Wielu mężczyznom obraz, który kreślę, wyda się jednostronny i negatywny, ale obawiam się, że większość uzna go za niewinny i łagodny. Nie wszyscy opuszczeni przez ojca chłopcy uzależniają się od matki - inne wersje zakończenia tej historii znajdują się w dalszych częściach książki.

Trudno powiedzieć, jak wielu synów jest zdradzonych przez ojców, ale gdy przyjrzymy się temu, co jest udziałem chłopców w ich dorosłym życiu, dojdziemy do wniosku, że doświadczenie bycia zdradzonym przez ojca staje się, niestety, coraz bardziej powszechne.

Ojcowie chcą mieć synów, więc gdy brzuch przyszłej matki, choć trochę urośnie, niecierpliwie domagają się badania USG, żeby na ekranie monitora zobaczyć, co też ich dziecko ma między nogami. Wybuch wielkiej radości, gdy okazuje się, że narodził się chłopiec. Prawdę mówiąc, nie wiadomo, dlaczego ta radość wybuchła. Ojcowie powinni przecież wiedzieć, że życie mężczyzny nie jest sielanką. Mimo to cieszą się - z przyzwyczajenia czy z nawyku.

Chłopiec przychodzi na świat. Ojciec idzie się upić, żeby podkreślić fakt, że stała się rzecz nadzwyczajna, a mama jest zachwycona i dumna, bo ma poczucie, że spełniła swój obowiązek.

Ojciec Chłopca sam był kiedyś chłopcem zdradzonym przez ojca, wychowywanym głównie przez kobietę, i nie wie, jak zajmować się synem. Pamiętajmy, więc, czytając dalej tę opowieść, że wszystko, co zostanie powiedziane o Chłopcu, dotyczy też jego ojca - a zapewne też ojca jego ojca.

Skoro ojciec Chłopca został zdradzony przez swego ojca, to nie wystarcza mu na długo zapamiętać, żeby troszczyć się o syna. Ma poczucie, że spełnił swoją rolę, płodząc go i ewentualnie dopilnowując, by mógł w miarę bezpiecznie się urodzić.

Wkrótce zaczyna być zniescierpliwiony tym, że Chłopiec jest mały, bezradny, że tak bardzo potrzebuje matki i w niczym nie przypomina chłopca oprócz tego, że ma siusiaka. Je, robi w pieluchy i nie daje spać po nocach. Ojciec Chłopca nie widzi w tym wszystkim dla siebie miejsca i zaczyna się odsuwać, uznając, że kiedyś przyjdzie czas, by nawiązać kontakt z synem. I tutaj popełnia pierwszy błąd - nie pamięta, jak sam, będąc małym chłopcem, pragnął kontaktu z ojcem. Nie pamięta, jak bardzo potrzebował obecności ojca - jako symbolicznej obietnicy, że kiedyś ktoś pomoże mu odejść od matki.

W efekcie Mały Chłopiec, patrząc z perspektywy kołyski, na tle sufitu widzi jedynie zachwycone twarze kobiet.

Potem różnie się dzieje. W smutnym scenariuszu bywa tak, że ojciec znika po paru tygodniach, a w jeszcze smutniejszym, że nie było go już wtedy, gdy Chłopiec pojawił się na świecie. Nawet w radosnych wersjach wydarzeń ojciec jest prawie nieobecny przez pierwszy rok. Pojawia się on w polu widzenia Małego Chłopca mniej więcej wtedy, gdy ten stawia pierwsze samodzielne kroki i zaczyna mówić pierwsze słowa.

Kiedy życie Chłopca wkracza w bardzo ważną fazę, pierwszych prób rozluźnienia symbiotycznego związku z matką, ojciec przydałby się bardzo, bo odłączenie się od matki jest przedsięwzięciem trudnym.

Jeśli Chłopiec ma w tym okresie ojca pod bokiem, może przeżyć coś niepowtarzalnego. Mama stawia go na ziemi, a ojciec, stojąc kilka kroków dalej, mówi: „No, chodź do mnie, chodź do mnie, chodź do mnie!” Wtedy Mały Chłopiec po raz pierwszy odrywa się od mamy, by wyruszyć zupełnie samodzielnie w tę niezmierną przestrzeń między matką a ojcem. W końcu, po długich jak wieczność sekundach, dociera do kresu tej niebezpiecznej podróży - do ojca. Zalicza swój pierwszy sukces, robi pierwszy krok ku męskości. W tym innym, męskim świecie czeka na niego ojciec, który radośnie chwyta go w ramiona i unosi w górę jak bohatera!

Jeśli ojca nie ma, w doświadczeniu Chłopca powstaje kolejna, bardzo poważna luka. Na domiar złego brak ojca w tym okresie sprawia, że Chłopiec zaczyna być bardziej niż dotąd nadopiekuńczo traktowany przez matkę. Uczy się chodzić, przewraca się, zbiera siniaki, obija sobie głowę. Gdyby ojciec był w pobliżu, lepiej by to rozumiał. Pozwoliłby mu doświadczyć ryzyka i bólu, uczył odporności, wytrzymałości, by w przyszłości nie ulegał matczynej panice, gdy się przewróci lub uderzy. Mama, która nigdy nie była chłopcem, nie zawsze rozumie, jakie to dla syna ważne. Często niepotrzebnie biegnie z krzykiem na pomoc i za bardzo przeżywa każdy jego upadek. Nieświadomie uczy Chłopca, że świat jest niebezpieczny, a on sam bardzo kruchy. Wyjście z domu może mu się kiedyś wydać zbyt ryzykowne. Uzna, że najbezpieczniej będzie pozostać w pobliżu mamy.

Jeśli ojciec jeszcze nie odszedł, to z pewnością jest bardzo zapracowany. Zapewne sens swego życia widzi przede wszystkim w zabieganiu o reputację i sukces, bowiem nie jest mu

znane głębokie uczucie satysfakcji, płynące z kontaktu z ludźmi. Sam wychowywany przez matkę, ciotki i babki, teraz w głębi duszy obawia się kobiet. Przeczuwa, że nie potrafi się od nich skutecznie odgraniczać i podświadomie boi się, że go pochłoną, że utknie w kobiecej atmosferze ciepła i bezpieczeństwa i nie będzie miał już siły wyruszyć w świat. Trzyma się, więc z daleka od kobiet, unikając bliskich, intymnych i trwałych związków. Nie zdaje sobie sprawy, że taki sam los szykuje swojemu synowi.

Tymczasem matka, opuszczona przez partnera, jest coraz bardziej przemęczona, zniecierpliwiona i rozżalona. Robi, co może, zęby jak najsilniej związać ze sobą syna i przy okazji odebrać go ojcu. Nosi w sobie pokłady gniewu, który dotyczy ojca, ale który pod jego nieobecność łatwo przelewa się na dziecko.

Matka nieświadomie kastruje psychicznie Małego Chłopca, pozbawiając go okazji do kształtowania w sobie podstawowych atrybutów męskości zaufania do siebie, odwagi, odporności, sprawności, umiejętności odnajdywania się w grupie rówieśników i walczenia o swoją pozycję. W trosce o bezpieczeństwo synka, który jest przecież „jej skarbem”, nie pozwala mu wychodzić na podwórko, bo się pobrudzi, spoci lub przeziębi, nie pozwala bawić się z kolegami, bo nauczy się brzydkich słów albo coś sobie zrobi.

Brak kontaktu z grupą rówieśników to w doświadczeniu Małego Chłopca kolejna ogromna luka, która będzie hamować proces oddzielania się od matki i ograniczy jego kontakt ze światem. Z pomocą ojca Chłopiec mógłby zdobywać i poznawać ten świat, aby kiedyś poczuć się w nim jak w domu.

Nadchodzi moment, gdy synek powinien pójść do przedszkola. Ale Mały Chłopiec ma ogromne trudności w zaakceptowaniu tego miejsca, bo matka stała się dla niego zbyt ważna. Pozostawanie na kilka godzin w obcym otoczeniu, bez możliwości kontaktowania się z nią, budzi lęk nie do przeżycia. Przedszkole jest wyzwaniem ponad siły. Pozbawiony oparcia w ojcu i po raz pierwszy w życiu opuszczony przez matkę, musi stawić czoło grupie rozwrzeszczanych dzieci i obcym dorosłym.

Można powiedzieć, że najgorsze już się stało. Przez pierwsze 3-4 lata powstaje wewnętrzna matryca, która spełnia ważną funkcję w późniejszym życiu dziecka. Porządkuje ona jego doświadczenia i tworzy gotowość do określonej ich interpretacji. Zaczyna się proces dojrzewania, tworzy się osobowość i związane z nią poczucie „ja”. Jeśli zostanie ono zbudowane na chybottliwym fundamencie, to ten brak stabilności będzie musiał być kompensowany w dalszym procesie budowy.

Chłopiec przechodzi kryzys przedszkolny, bo mama, pomimo jego protestów i rozpacz, nie może zabrać go do domu.

Chłopiec dorasta. Pozbawiony możliwości przebywania z dwojgiem rodziców na raz, niewiele wie o tym, kim dla mężczyzny jest kobieta, kim dla kobiety jest mężczyzna i jak współistnieją ze sobą. Podstawowym doświadczeniem. Chłopca jest pełen sprzecznych napiętności związek z matką. Ich relacja komplikuje się jeszcze bardziej, gdy matka, świadoma przemijania, nie licząc już na spotkanie nowego partnera, zaczyna pokładać w synu nadzieję, że stanie się on w jej życiu zastępczym mężczyzną, opiekunem i oparciem. Chłopiec często słyszy „Ty, synku, nigdy nie zrobisz mamie tego, co twój tata.” Słyszy też wiele negatywnych opinii na temat ojca. Postanawia, więc w głębi duszy, że me będzie taki jak tata, że będzie grzecznym synkiem i nigdy mamie nie zrobi przykrości. W ten sposób, nie wiedząc o tym, bierze na siebie ciężar nie do uniesienia - ciężar odpowiedzialności za szczęście i samopoczucie matki. Co gorsza, zaczyna kształtować siebie, jako mężczyznę, wedle jej oczekiwań.

Życie jakoś się toczy. Zaczyna się szkoła, bezbarwny i nudny okres w życiu Chłopca, zanurzonego nadmiernie, w codzienność swojej zapracowanej matki. Nie ma okazji nawet posiłkować się z ojcem, a co dopiero pójść z nim gdzieś, oglądać z nim świat i uczyć się od niego, na czym polega bycie mężczyzną.

Kiedy ma 14-15 lat, hormony dają o sobie znać i Chłopiec zmienia się fizycznie. Jego

genitalia potężnieją, pojawia się zarost, zmienia się głos, ciało zaczyna męźnieć. Wtedy odkrywa - a jest to dla niego odkrycie zarówno trudne, jak i budzące nadzieję - że zasadniczo różni się od mamy. Pojawiają się sny erotyczne, nocne polucje. Chłopiec przechodzi delikatny i trudny okres dojrzewania seksualnego. Skazany wyłącznie na matkę, staje wobec zagrożenia, że nawet ta intymna sfera jego przeżyć może zostać przez nią zawłaszczona. Matka rzeczywiście ingeruje w to, co się dzieje w jego rodzącym się życiu erotycznym. Może się zdarzyć, że zachowa się niezręcznie i niedyskretnie. Chłopiec usłyszy, że „jest brzydki” lub że „jej synek takich rzeczy nie robi” i zacznie się wstydzić swojej seksualności. Ciężko mu będzie tym bardziej, że jego pragnienia egoistyczne mogą być związane z matką. Żyje z nią przecież tak blisko, że w naturalny sposób stać się ona może pierwszym obiektem jego marzeń. Znowu brakuje ojca, który samą swoją obecnością dawałby do zrozumienia, że matka należy do niego i że syn powinien przestrzegać jasno określonych granic.

Brak ojca, który pomógłby mu skierować marzenia i pragnienia erotyczne poza dom, sprawia, że powodowany poczuciem winy i lęku Chłopiec odcina się od swojej seksualności. Boi się ruszyć w świat, boi się zdradzić matkę z inną kobietą, bo przecież obiecał jej, że nie będzie taki jak tata i że nigdy jej nie opuści. Nie zdaje sobie sprawy, że w głębi serca boi się kobiet, ponieważ jego związek z matką jest zbyt trudny do uniesienia.

Nie wszyscy zdradzeni przez ojca znajdują w sobie dość energii na odejście od matki, ale większość, gdy osiąga seksualną dojrzałość, jednak zdobywa się na to.

Jeśli Chłopiec chce otworzyć serce na inną kobietę i zrealizować się seksualnie, musi odejść. Jest bardzo prawdopodobne, że nie odchodzi do końca. Silnie uzależniony od matki nie potrafi obronić przed nią swoich związków z kobietami. Matka ingeruje w jego prywatność, domaga się zwierzeń i spełnienia danej obietnicy. Chłopiec bezwolnie pozwala matce na zbyt wiele - w końcu zawsze tak było. Matka zaś traktuje każdą jego partnerkę czy koleżankę jak rywalkę. Stara się nie dopuścić do głębszego związku, obrzydza mu kolejne dziewczyny, sugerując bez słów „Nie spotkasz lepszej kobiety ode mnie. Nikt cię nie będzie kochał tak jak ja.” To drugie stwierdzenie oczywiście jest prawdą, ale Chłopiec nie wie, że w tym momencie jego życia nie chodzi już o to, by spotkał kobietę, która będzie go kochała tak jak matka.

W końcu Chłopiec spotyka kobietę, która staje się dla niego kołem ratunkowym i wyzwoliciełką z ramion matki. Żeni się. Z pewnością nie obeszło się bez walki. Matka zrobiła wszystko, by wybrał partnerkę, która będzie jej uległa. Jeśli, jednak, Chłopcu udaje się, na złość mamie, związać z silną kobietą, odkryje kiedyś, że związał się z kimś bardzo podobnym do matki. Ale to dzięki takiej żonie, kobiecie równie silnej, mającej nad nim przewagę i równie mocno wiążącej go ze sobą, może uratować się przed matką. Tylko taka kobieta potrafi bronić rodzinnego gniazda przed inwazyjną teściową. Mimo to, w konfliktach między żoną a matką, Chłopiec bierze stronę matki. Spełnia się matczyne proroctwo, że będzie żałował, gdy się ożeni. Bo żona nie pozwala mu odwiedzać mamy codziennie. Nie zgadza się, by mama miała klucze do ich mieszkania i wpadała, kiedy chce. Domaga się, by był lojalny wobec nowej rodziny. To wszystko jest dla Chłopca bardzo trudne. Czuje, że popełnił błąd, że wpadł z deszczu pod rynnę i chętnie wróciłby do mamy.

W tym czasie pojawia się w jego życiu dziecko. Jeśli jest to chłopiec, kielich goryczy się przepelnia. Ojciec i mąż, który sam nadal czuje się synkiem, nie potrafi pomieścić w swoim życiu dziecka. Odchodzi od żony i zdradza swego syna.

O ojcu, który nie dał rady

Tak trudno docenić czas, który spędzamy z naszym dzieckiem, jeśli zostaliśmy zdradzeni przez ojca. Nosząc głęboko w sercu przekonanie, że nie zasłużyliśmy na miłość własnego ojca, a może też i matki, całe życie staramy się odnieść jakiś sukces, zdobyć reputację, która będzie budzić przynajmniej uznanie, jeśli nie podziw. Przebywanie z trzy-, cztero czy pięcioletnim

synkiem w jego pokoju, wspólna zabawa klockami albo układankami, to, z tego punktu widzenia, czas stracony.

Dlatego w pierwszych latach życia syna nieświadomie zdradzamy go, poświęcając całą uwagę budowaniu swojej pozycji zawodowej i społecznej oraz tworzeniu w miarę niekłopotliwej relacji z jego matką.

Czasem dostrzegamy, że związek z synem stanowi szansę na to, aby w naszym życiu pojawił się w końcu mężczyzna, dla którego będziemy najważniejsi i który będzie nas podziwiał. Pokusa uczynienia syna naszym wielbicielem bywa wielka. Myli nam się to z miłością do niego. Jesteśmy przekonani, że bardzo dużo dla niego robimy, ale nie zdajemy sobie sprawy, że chodzi nam wyłącznie o to, aby go do siebie przywiązać.

Nawet, jeśli nam się to uda, to i tak - prędzej czy później - syn przepoczwarzy się z wielbiciela w zażartego krytyka, a czasami wręcz wroga. To jeszcze nie tak źle. Gorzej jest, gdy po drodze przetrącimy mu moralny kręgosłup tak mocno, że przez resztę życia nie zdoła się wyprostować i pozostanie beznadziejnie wpatrzony we wspaniałego, nieosiągalnego ojca. Jeśli jednak mimo wszystko się zbuntuje, wtedy z kolei obrazimy się na niego i odrzucimy go ostatecznie. Ujawni się prawda o naszym związku z synem. Nie potrafiliśmy go kochać. Był nam tylko potrzebny.

Syn często zaczyna zachowywać się według scenariusza „na złość ojcu odmrozę sobie uszy”, czyli budować swoją tożsamość na zasadzie negacji ojca, negacji naszego pomysłu na jego życie. Kończy się tym, że dryfuje w kierunku grup antysocjalnych, kibiców, gangów czy innych grup rówieśniczych, przy pomocy, których próbuje stworzyć sobie substytut prawdziwego obcowania z ojcem. Chce doświadczyć nigdy wcześniej nie zaznanego poczucia wzajemnego wsparcia, lojalności, jasnych wymagań, norm i wspólnoty, dowiedzieć się, ile jest wart.

Zdradzany syn, którego ojciec jest tak zwanym porządnym facetem i cieszy się ogólnym szacunkiem, ma w życiu trudniej niż syn łobuza czy pijaka. Często słyszy komentarz: „taki dobry ojciec, a takiego ma syna”. Łatwo jednak zrozumieć, że syn musi przeciwstawić się ojcu, który go zawiódł. Aby zbudować swoją odrębną tożsamość, musi stać się zupełnie kimś innym niż ojciec, a ścieżka społecznej poprawności odpada, ponieważ ojciec nią idzie. Podobnie synowie ojców pijaków, łobuzów, bijących żony, zachowujących się skandalicznie, często ratują swoją tożsamość, idąc - tym razem na szczęście - w zupełnie inną stronę niż ich ojcowie. Pracują nad sobą, dojrzewają, aktywnie poszukują pozytywnych wzorców. Można powiedzieć, że społecznie wychodzą bardziej na swoje niż synowie poprawnych tatusiów.

Oczywiście, nie wszystkim udaje się przeciwstawić ojcu. Jeśli ich wola i poczucie ludzkiej godności zostały złamane, to ani ci pierwsi, ani ci drudzy nie są w stanie zbudować swojej niezależnej tożsamości. Synowie pijaków zostają pijakami, a synowie poprawnych pracoholików zostają poprawnymi pracoholikami. Jedni i drudzy mają skłonność do poddawania się zewnętrznym wpływom, podporządkowywania się pseudo autorytetom, oddawania się ideologiom i doktrynom. Brak wewnętrznej struktury i wewnętrznego poczucia wartości sprawia, że muszą szukać kogoś, kto im powie, jak żyć.

Robert Bly w swojej książce „Żelazny Jan” zwraca uwagę, że 200 lat temu, czyli na początku ery industrialnej, zaczął się na skalę masową proces, który nazywamy tu zdradzaniem synów przez ojców. Nie wynikało to - jak się zdaje - z dziedzicznych deficytów ani ograniczeń. Zostało wymuszone sytuacją ekonomiczną i nową organizacją pracy. Ojcowie pracowali w ogromnych fabrykach, wykonywali pracę dziwną, często poniżającą. Bywało, że wkręcali trzy śrubki w drzwi samochodu przez całe swoje zawodowe życie. Nie mieli, czym pochwalić się synom, w dodatku pracowali przez całe dni i noce. Synowie stracili kontakt z ojcami, z tym, jak pracują i jak żyją mężczyźni, z tym, co mężczyźni powinni wiedzieć i potrafić.

Zostaliśmy rzućeni w objęcia osamotnionych, przepracowanych matek, które musiały przejąć cały trud wychowywania dzieci. W efekcie większość z nas ma nadmiernie rozbudowany wewnętrzny aspekt kobiecy. Nie byłaby to wielka szkoda, gdyby nie fakt, że z reguły

doświadczamy bardzo trudnego wymiaru kobiecości: przemęczonej, zniecierpliwionej, nie kontrolującej swoich emocji matki albo matki nadmiernie opiekuńczej, uległej i bezradnej.

Z jednej strony, jako dorastający mężczyźni, zostajemy pozbawieni archetypowego wzoru męskiego, z drugiej doświadczamy nadmiaru negatywnej strony kobiecości. Te dwa składniki naszej wewnętrznej konstrukcji decydują o tym, że tak trudno nam być z kobietami. Długoletni kontakt z matką nauczył nas wprawdzie być z nimi, ale w szczególny sposób. Znosić je, tolerować, unikać, radzić sobie. W kontakcie z matką nie nauczyliśmy się budowania dobrych, ciekawych i głębokich związków. Znacznie częściej, zamiast szkoły budowania i tworzenia, przechodziliśmy szkołę przetrwania. Potem trudno nam wzbogacać, twórczo rozwijać i wzmacniać nasze partnerskie relacje. Potrafimy albo opiekować się kobietami, albo od nich uciekać. Albo oddawać się w opiekę, albo gardzić i wywyższać się. Budowanie partnerskiego związku z kobietą jest dla nas bardzo trudne. Tym trudniejsze, że często tak mało wsparcia w tej sprawie otrzymujemy z drugiej strony.

Spadek po ojcu

Zajmę się tutaj czterema najczęściej przeze mnie spotykanymi sposobami, w jakie ojciec zdradza syna. Są to: „zniszczyć cię”, „matka jest ważniejsza od ciebie”, „podziwiał mnie” i „nie chcę cię”.

Zdradzanie synów odbywa się często w sposób prawie niedostrzegalny. Jako ojcowie możemy mieć wręcz przekonanie, że poświęcamy im dużo czasu i uwagi, ale warto się temu bliżej przyjrzeć, zanim udzielimy sobie rozgrzeszenia.

„Zniszczyć cię”

Niszczenie to bardzo powszechny sposób zdradzania syna. Bierze on swój początek z dzieciństwa ojca. Ojciec-kat sam jako dziecko był ofiarą i nie przekroczył tego dziedzictwa. Dlatego rozgrywa swoje bolesne doświadczenia i związane z nimi uczucie upokorzenia w relacji z własnym synem. W związkach z dziećmi łatwo spełnia się marzenie każdej ofiary: nie ryzykując niczego, stać się katem. Znęcanie się nad dzieckiem wydaje się nie grozić odwetem. Przynajmniej do czasu.

Potrzeba przeistoczenia się z ofiary w kata jest tak wielka, że perspektywa odwetu i tak nie jest ważna. Ojciec, który w dzieciństwie był upokarzany i poniewierany, demonstruje przed nami swoją siłę i przewagę. Nie przepuszcza żadnej okazji, żeby pokazać, że jest lepszy. Nieświadomie dąży do tego, by naszym udziałem stały się uczucia, które on sam przeżywał, gdy był dzieckiem. Dlatego odczuwa satysfakcję, gdy doprowadza nas do płaczu czy zawstydzenia, kiedy nas wyśmiewa, pokonuje, kompromituje. Przez lata takiego traktowania w naszej psychice postępuje korozja poczucia wartości i szacunku dla nas samych. Kumuluje się ogromna ilość agresji i gniewu.

Wielu niszczących ojców to alkoholicy. W alkoholizm łatwo wpadają ludzie, uciekający przed swoją wewnętrzną, wyniesioną z dzieciństwa hańbą, spotęgowaną przez okoliczności ich dorosłego życia. Ale mogą to być też ojcowie opętani czymś innym niż alkohol: dogmatyczni ideolodzy lub wyznawcy, tak zwani ludzie żelaznych zasad, wojskowi czy inni funkcjonariusze autorytarnych i hierarchicznych organizacji. Wobec syna po raz pierwszy i być może ostatni w swoim życiu mogą poczuć się lepsi.

Przyjdzie czas, że syn dorośnie, a ojciec osłabnie. Wtedy syn boleśnie mu odpłaci. Niestety, częściej bywa tak, że odegra się kiedyś na swoich dzieciach i błędne koło gry w kata i ofiarę będzie kręcić się dalej.

W rolę kata wpisane jest używanie przemocy fizycznej, często przybierające postać znęcania się nad ofiarą. Ma to groźne, negatywne konsekwencje. Czasami powoduje silny lęk, porównywalny do lęku, pojawiającego się w sytuacji zagrożenia życia. Potem daje on o sobie

znać w chwilach, które obiektywnie nie powinny go powodować.

Jeśli maltretowano nas w dzieciństwie, przeżywanie lęku kojarzy się nam z upokorzeniem. Taka mieszanka uczuć jest ostatnią rzeczą, jaką chcielibyśmy przeżywać. Tworzy się w nas groźny syndrom: lęk i poczucie upokorzenia kompensujemy silną agresją. Wtedy bardzo wcześnie zaczynamy szukać swoich ofiar.

Niektórzy z nas postanawiają, że nigdy nie będą tacy jak ojciec. Odcinamy się od swojej agresywności, ponieważ agresywność w każdej postaci kojarzy nam się z ojcem. Tworzymy iluzję, że jesteśmy dobrym człowiekiem, który nigdy się nie gniewa. W rezultacie nie potrafimy stawiać granic, kiedy trzeba, ani zachowywać się adekwatnie w sytuacjach, wymagających szybkiej, zdecydowanej, czasami agresywnej reakcji.

Istnieje też ukryta odmiana kata, który dzieła upokorzenia i złamania syna dokonuje w rękawiczkach, używając zamiast agresji fizycznej czy słownej psychologicznych metod znęcania się. Ponieważ robi to nieświadomie, na ogół uważa się za znakomitego ojca, a to, że syn więdnie mu w rękach, jest dla niego niezrozumiałym i niesprawiedliwym wyrokiem losu.

Łatwiej jest żyć z ojcem, który jest jawnym katem. Taki ojciec w całości nadaje się do odrzucenia. Kat ukryty jest trudny do zdemaskowania. Trudno jest też skonfrontować się z nim. Połykamy cały nasz gniew i wstyd. Zapadamy się w sobie, jakby nam popękały wewnętrzne organy, choć na zewnątrz nie widać śladów bicia.

W dodatku czujemy się nie w porządku, że - wbrew oczekiwaniom otoczenia - nie obdarzamy ojca miłością i szacunkiem. Ojciec chętnie podsycy w nas poczucie winy: „Zobacz, jaki jestem wspaniały, tyle robię dla ciebie, a ty nawet nie jesteś mi wdzięczny! Nikt o mnie złego słowa nie powie, a ty masz mi wszystko za złe. Chyba z tobą jest coś nie tak.” W końcu dochodzimy do wniosku, że rzeczywiście z nami jest coś nie tak. Mamy wspaniałego ojca, tylko nie dorastamy do sytuacji. Powinniśmy być wdzięczni, że żyjemy, i niczego więcej nie oczekiwać.

„Matka jest ważniejsza od ciebie”

Rodzi się syn i ojciec potrafi jedynie oddać go w ręce matki. Sam czuje się ze swoją groźną żoną tak, jakby był jej dzieckiem, więc nie jest w stanie podejmować jakiegokolwiek ryzyka, aby wspierać lub bronić swego syna.

Czujemy pogardę do takiego ojca, a w dodatku wpadamy w ręce albo nadopiekuńczej, albo jawnie destrukcyjnej matki. Jedynym wyjściem jest podporządkowanie się matce, przynajmniej do czasu, kiedy zmężniejemy. Potem albo staniemy się takim samym facetem jak ojciec, albo świadomie odetniemy się od niego i wejdziemy w konfrontację z matką. Będziemy musieli zademonstrować matce swoją odrębność i męskość. Nie mając prawie żadnych pozytywnych doświadczeń z ojcem, podejmiemy beznadziejną walkę o to, by pozostając w związku z matką, zdobyć ostrogi męskości. Zmusi to nas do użycia bardzo radykalnych środków. Z grzecznego chłopca przeistoczymy się nagle w jego przeciwieństwo. Staniemy się wulgarni, agresywni, egoistyczni.

„Podziwiał mnie”

Ojciec do podziwiania może wydawać się zbawieniem na tle tych, o których mówiliśmy do tej pory. W gruncie rzeczy jednak jest utrapieniem, bowiem potrzebni jesteśmy mu wyłącznie po to, aby się przed nami chwalił. Wyczuwa upragnioną szansę na bycie ważnym, szczególnym i wybranym dla małego jeszcze wprawdzie, ale mężczyzny.

Ojciec sam był chłopcem niekochanym, niedocenianym. Teraz życie spędza na dowodzeniu sobie i światu, że jest coś wart. Wykorzystuje do tego wszystkie możliwe sytuacje, również związek z nami. Jest nam trochę lżej, jeśli jego potrzeba bycia podziwianym jest zaspokajana na przykład w pracy zawodowej. Najtrudniej jest wtedy, gdy mamy być jedynymi świadkami, wielbicielami i entuzjastami swego ojca. Zabiera nas wszędzie tam, gdzie może się przed nami czymś pochwalić. Siedzimy i patrzymy, jak tata rozbija namiot, rozpala ognisko, steruje jachtem,

gra w tenisa, jeździ konno, bawi się czy pracuje. Robimy to, czego nie zrobił jego ojciec. Patrzymy i podziwiamy. W manipulowaniu w rolę widzów i podziwiaczy czujemy się dokładnie tak, jak czuł się ojciec, gdy był dzieckiem - niedocenieni i opuszczeni. Powstaje w nas przekonanie, że nigdy mu nie dorównamy. Ponieważ ciągle spędzamy czas z ojcem, nie możemy przebywać w grupie rówieśników, gdzie moglibyśmy się sprawdzać, przekonywać o tym, co potrafimy. W końcu uznajemy, że nie mamy żadnych szans. Droga do nadzwyczajności wiedzie nas tylko w jedną stronę. Możemy być nadzwyczajnie beznadziejni, nadzwyczajnie nieszczęśliwi albo nadzwyczajnie kłopotliwi.

Odkrywamy, że najskuteczniej ściągamy na siebie uwagę ojca, gdy niepokojymy go czymś, bulwersujemy albo szokujemy. Zaczynamy chorować, opuszczać się w nauce, zachowywać się skandalicznie. Stajemy się dla ojca ciężarem, przynosimy rozczarowanie i wstyd.

Czasami próbujemy iść w jego ślady, ale to na ogół szybko kończy się niepowodzeniem, bo nie daje satysfakcji, płynącej z życia na własny rachunek. Jeśli znajdziemy jeszcze kiedyś w sobie wewnętrzną siłę i oparcie wśród ludzi, to spróbujemy odszukać swoje miejsce w życiu, z dala od ojcowskich szlaków. Wtedy być może zobaczymy, o co w tym wszystkim chodziło, i pojawi się w nas ogromna, dobra tęsknota za tym, żeby być zwykłym człowiekiem, który robi zwykle pożyteczne rzeczy i nikt nie musi nawet o tym wiedzieć.

„Nie chcę cię”

Ojciec jest facetem w porządku, radzi sobie w życiu, osiąga nawet jakieś sukcesy i mógłby stanowić dla nas wzór, ale, niestety, nie interesuje się nami. Zachowuje się tak, jakby nas z góry skreślał, jakbyśmy go - nie wiadomo, dlaczego - zawiedli.

W każdym razie coś się ojcu w nas nie podoba. Dlatego całkowicie odpuszcza sobie zajmowanie się nami. Możemy od niego usłyszeć: „Będiesz synkiem mamusi.”

To bardzo boli. Ojciec jest pod ręką, ale tracimy go z jakichś tajemniczych powodów. Taka sytuacja zdarza się, gdy coś się psuje między ojcem a matką. W rezultacie dzielą między siebie odpowiedzialność za dzieci. Mogą mieć problemy seksualne lub wychowują dzieci z różnych małżeństw. Czasami powodem tak silnego odrzucenia nas są nieświadome lęki homoseksualne ojca. Wtedy tak gorączkowo zajmuje się on udowadnianiem sobie i światu, że jest super mężczyzną, że na nas nie ma już w jego życiu miejsca. Bliskość z nami nasilałaby tylko jego przerażające, podejrzenie co do własnej homoseksualności.

Bywa tak, że ojciec nie czuje się związany z matką. Wtedy, wyznaczając nam rolę „synka mamusi”, jednocześnie deleguje nas do tego, abyśmy się matką zajęli, poniekąd go zastąpili. Może za tym stać poczucie winy wobec niej. Jakby mówił wtedy: „Wiesz, wprowadź ja się tobą specjalnie nie interesuję, moja droga, ale daję ci synka, a on na pewno będzie cię kochał.” No i zostajemy rzućeni mamie na pożarcie.

Chcąc nie chcąc, stajemy się dla matki oparciem. To trudna sytuacja. Sprzyja powstawaniu w naszym umyśle iluzorycznego obrazu związku z matką. Może nam się wydawać, że jesteśmy dla matki ważniejsi od ojca i powołani do zaspokajania wszelkich jej potrzeb, z seksualnymi włącznie. Tym bardziej, że, gdy zaczynamy dorastać, często zakochujemy się w mamie, bo nasze młodzieńcze pragnienia seksualne w naturalny sposób kierują się w stronę kobiety, z którą spędzamy tak wiele czasu.

Tymczasem matka rozgrywa z nami swoje gniewne uczucia do mężczyzn, a szczególnie do ojca. Z jednej strony wywyższa nas i uwodzi, a z drugiej poniża i wyśmiewa. Szczególnie wtedy, gdy spróbujemy zachować się jak mężczyzna, aby sprostać sugerowanej nam roli. Najtrudniej jest, gdy w łóżku matki pojawia się nagle ojciec albo kochanek. Nasze poczucie wartości i męskości zostaje głęboko zranione. Lęk przed ewentualnością seksualnego wchłonięcia przez matkę i upokorzenia, związanego z odrzuceniem, w połączeniu z ogromną tęsknotą za ojcem może popychać nas w stronę mężczyzn. Przeczuwamy, bowiem, że wybranie związków z mężczyznami pozwoli nie tylko umknąć z matczynej zasadzki, ale, co istotniejsze, zrealizować

nasze marzenie o byciu ważnym i bliskim dla jakiegoś mężczyzny.

Manowce inicjacji

Podstawowym celem inicjacji jest uczynienie z chłopca mężczyzny.

Teoretycznie my, mężczyźni, mamy w tej sprawie trudniej niż kobiety. Brakuje w naszym życiu wyraźnych cezur, które jednoznacznie świadczyłyby o tym, że dojrzewamy. Zmiana głosu, pojawienie się owłosienia, zarostu i ejakulacji mają znaczenie drugorzędne. To jedynie zewnętrzne, cielesne przejawy męskości, nie dotyczące przecież stanu umysłu i ducha.

U dziewcząt stawanie się kobietą zaznacza się wyraźniej. Pojawia się miesiączka. Całe ciało zmienia się radykalnie. Potem następują: defloracja, ciąża, poród i karmienie. Prawie wszystkim tym wydarzeniom towarzyszą ogromne zmiany anatomiczne, hormonalne i emocjonalne - doświadczenia tak mocne, że są w stanie przeorać osobowość i tożsamość kobiety. W praktyce kobiety bywają tak bardzo odcięte od własnego ciała, a tym samym od tych przełomowych doświadczeń, że droga do kobiecości bywa dla nich równie trudna jak nasza droga do męskości.

Mężczyznom nic tak dramatycznego i potężnego samo z siebie się nie przydarza. Dlatego wszyscy bez wyjątku skazani jesteśmy na bolesną, trudną i pełną niebezpieczeństw podróż w poszukiwaniu pieczęci męskości. Nabycie zdolności do ojcostwa jest dla nas bardziej doświadczeniem dokuczliwego rozszczepienia między stanem ciała, które staje się męskie, a stanem umysłu i serca, które długo jeszcze pozostaną chłopięce. Pierwszy wytrysk, najczęściej w postaci nocnej polucji, podobnie jak to bywa z pierwszą miesiączką u dziewczynek, jest częściej przykrym i zawstydzającym doświadczeniem pobrudzenia się i sprawienia kłopotu mamie niż okazją do poczucia się, choć trochę mężczyzną.

Istotą inicjacji jest doświadczenie, które skonfrontuje mężczyznę z ekstremalnym wymiarem lęku o własne życie, z bólem i cierpieniem. Joseph Campbell opisuje w jednej ze swoich książek procedurę inicjacji, stosowaną w pewnym plemieniu. Chłopcy są przygotowywani od dzieciństwa do tego, że gdzieś krąży i czyha straszny duch - potwór, który kiedyś wyrwie ich niespodziewanie z objęć matki i będzie chciał zabić. Gdy grupa chłopców osiąga odpowiedni wiek, dorośli mężczyźni przebierają się za wysłanników owego ducha, porywają chłopców z domu i poddają trudnej, wielodniowej próbie bólu, strachu, głodu i pragnienia. Chłopcy są przerażeni, bo mają wszelkie powody obawiać się o swoje życie. Nie zdają sobie sprawy, że cała sytuacja, choć na granicy ich wytrzymałości, jest jednak pod kontrolą dorosłych. Po wielu latach odkrywają, że to przerażające doświadczenie było wyrazem współczucia i chęci przyjścia im z pomocą w odejściu od matki.

Co w naszej tradycji i kulturze z tego pozostało? Na pewno realizowana przez większość z nas potrzeba znęcania się nad swoim ciałem. To najbardziej powszechny przejaw manowców inicjacji w naszych czasach. Jako młodzi chłopcy przeczuwamy, że aby stać się wojownikiem i wyjść z kręgu matczynej opieki, trzeba wykazać się dzielnością. Niestety, nazbyt często przybiera to formy pokraczne i żałosne. Na przykład w wieku lat siedmiu czy ośmiu zaczynamy palić papierosy, wachać coś trującego czy pić alkohol. Potem przez resztę życia nasze wyścigi polegają na tym, kto więcej wypali i kto więcej wypije, a mimo to się nie przewróci, albo, kto szybko wytrzeźwieje, albo, kogo mniej głowa boli. Może być też odwrotnie:, kogo bardziej głowa boli, kto jest bardziej zatruty. „Ile potrafię wypić, ile wypalić dziennie papierosów, ile nie spać albo ile pracować bez odpoczynku." Czerpiemy z takich wyczynów poczucie siły, dumy i przewagi nad innymi. W końcu umieramy na zawał przed czterdziestką, ale przynajmniej na polu chwały.

Znęcanie się nad własnym ciałem jest niewątpliwie poronną formą inicjacji, nie dającą satysfakcji i przeradzającą się w uzależnienie, w swoistą kompulsję inicjacyjną. Ze względu na to, że poprzeczka musi iść w górę, zachowujemy się, coraz bardziej autodestrukcyjnie. Doprowadzamy się do wyczerpania, zatrucia i ginimy zbyt wcześnie w walce, w której

jedynym przeciwnikiem jest nasza własna niedojrzałość. Taka realizacja archetypu wojownika jest w istocie zasmucająca. Z braku uznanych mistrzów prawdziwej inicjacji ich funkcję przejmują ludzie przypadkowi, przesiąknięci, upokorzeniem, nienawiścią i chęcią odwetu. To właśnie przejawia się w mechanizmie „fali” w wojsku, w więzieniach czy w innych środowiskach męskich, wśród marynarzy, żeglarzy, speleologów, w różnych rodzajach „chrztów” czy otrzęsin. Wszystkie te sytuacje sprowadzają się do tego, że niewiele starsi, samozwańczy inicjatorzy znęcają się nad nieco młodszymi od siebie nowicjuszami. Nawet w szkołach czy przedszkolach można obserwować pierwsze zwiastuny znęcania się nad młodszymi.

Ponieważ przeprowadzający takie pseudo inicjacyjne obrzędy zbyt szybko uzyskują do tego prawo, buduje to w nich złudne przekonanie, że są już mężczyznami. Procedurami inicjacyjnymi powinna się zająć starszyna, ludzie, którzy mają dystans przynajmniej jednego pokolenia w stosunku do inicjowanych, są mądrzy, doświadczeni, a przede wszystkim kierują się zasadą współczucia.

Wszelkiego rodzaju „fale” są okrutną, zwyrodniałą formą pseudo inicjacji, napędzaną poniżeniem tych, którzy się jej wcześniej poddali. Tak inicjowani nie stają się mężczyznami, lecz upokorzonymi ofiarami, które marzą tylko o tym, żeby swoje upokorzenie zamienić w satysfakcję poniżania i katowania słabszych i młodszych. „Fala” jest jednym z tych przejawów męskiej demoralizacji, które najskuteczniej niszczą nasz dobry i szlachetny potencjał. Nie ludźmy się. Prototypem fali jest to, co dzieje się między rodzicami a dziećmi. Upokorzony ojciec, który upokarza syna, to właśnie rodzinna „fala”. Upokorzona matka, upokarzająca córkę, to też „fala”. Fala poniżania słabszych, przemierzająca oceany pokoleń w niezmiennym od tysiącleci kształcie, przetacza się również w naszych rodzinach i w naszych domach.

Od paru lat w Stanach Zjednoczonych mężczyźni organizują milionowe marsze i spotkania, na których publicznie przyznają się do tego, że zawiedli kobiety, synów i całe swoje rodziny. Obiecują zrobić wszystko, żeby sprawy powróciły do normy. Niestety, ruch ten grzeszy konserwatyżmem. Kobieta - zdaniem organizatorów tego ruchu - ma siedzieć w domu i zajmować się dziećmi, mężczyzna zaś na to wszystko zarabiać. Jest to próba ucieczki w przeszłość. Nie uwzględnia tego, co już stało się z kobietami. Budowanie rodziny na fundamencie uzależnienia kobiety to karkołomne przedsięwzięcie w czasach, gdy kobiety masowo uzyskują emocjonalną i ekonomiczną autonomię. Wygląda na to, że po uroczystym przyznaniu się do winy lepiej szukać nowych, trudnych rozwiązań i podejmować nieznane dotąd wyzwania, które uwzględniałyby udzieloną już nam przez historię lekcję pokory, kwestionującą nasz męski mandat na rządzenie światem. Przywrócenie rangi i znaczenia męskiej inicjacji oraz znalezienie dla niej nowych form i nowych treści jest w tej sprawie koniecznym początkiem. Nie da się, bowiem zorganizować i przejść inicjacji tak, jak to czyniono w zamkniętych społecznościach dawnych kultur.

Wielu z nas poszukuje mądrej i wiarygodnej inicjacji, ale, mimo że podejmujemy coraz większe ryzyko i wchodzimy za każdym razem na coraz wyższą górę, to i tak czujemy, że coś nie może się spełnić. Czasami przy tej okazji odkrywamy nawet głębszy wymiar spraw, lecz nie uwalnia nas to od przywiązywania się do byle, czego. I tak nie chcemy zejść z tej góry, bo nie wiemy, jak owoce naszych doświadczeń spożytkować na rzecz swoich rodzin, swoich dzieci, innych ludzi. Jeśli zdarzy się, że zejdziemy, to za chwilę znowu chcemy tam wracać.

Niepewność naszej męskiej tożsamości rodzi potrzebę potwierdzenia i dowodzenia męskości sobie i innym na każdym niemal kroku. Może, dlatego coraz więcej energii, związanej z poszukiwaniem inicjacji, wkładamy w organizowanie małych i dużych wojen. W naszych męskich umysłach pokutuje, bowiem przeświadczenie, że wojna to najlepsza okazja do zdobycia pieczęci męskości. Trudno o większe i bardziej, niebezpieczne w skutkach nieporozumienie.

W książce „Żelazny Jan” Robert Bly przytacza w tej sprawie nader ważne ostrzeżenie: „Nie dawaj młodemu mężczyźnie broni do ręki, zanim nie nauczy się tańczyć.” Innymi słowy, zanim

weźmiemy broń do ręki, winniśmy doświadczyć radości, harmonii i miłości. Tylko wtedy sięgnięcie po broń nie będzie „zamiast” ani „przeciw”, ani też nie stanie się aktem zemsty za to, że radość i miłość nie były naszym udziałem.

Stawanie się mężczyzną musi opierać się na doświadczeniu radosnej i zachwycającej strony życia. Gdy tego zabraknie, wtedy zamiast stać się obrońcami życia i prawdy, stajemy się wojownikami śmierci i ciemności. Takich wojowników jest już zbyt wielu na tym świecie. Rekrutują się spośród niechcianych dzieci, które nigdy nie doświadczyły nawet chwili elementarnego spokoju, nie mówiąc już o radości czy bliskości. Jeśli byliśmy takimi dziećmi, to w czasie wojny stajemy się najdzielniejszymi żołnierzami. Wreszcie cały swój żal i złość możemy władować w usankcjonowane zabijanie. Mało tego, że mamy na to przyzwolenie, ale po raz pierwszy w życiu mówią nam, że jesteśmy chciani i kochani. Niestety, za to tylko, że mamy tak wielką ochotę na zabijanie. W głębi duszy wiemy, że jesteśmy cynicznie wykorzystywani przez tych samych, którzy wcześniej nas odrzucili. Dlatego kierowane w naszą stronę wyrazy miłości przyjmujemy jako hipokryzję, a nasz gniew staje się jeszcze większy.

Matka może dać nam bardzo dużo radości i nauczyć doceniać życie, ale nie będzie to taka radość, jaką możemy odczuwać, przebywając ze szczęśliwym ojcem czy w gronie mądrych mężczyzn. Grek Zorba ze swoją umiejętnością tańca i afirmacją życia, walecznością, odwagą i pracowitością, których uczył młodego przyjaciela z innej kultury, jest dobrym przykładem takiego mężczyzny.

Wygląda na to, że potrzeba nam mężczyzn, którzy osiągnęli rangę kapłańską w dziedzinie męskości. Bowiem inicjacja, aby się mogła spełnić, musi mieć wymiar duchowy i zostać potwierdzona przez zrealizowanych mężczyzn, którzy potrafią jednocześnie kochać i wymagać. Sytuacja jest alarmująca. Powszechna korozja i upadek męskich autorytetów odbierają resztki nadziei. Jakże często szukamy po omacku, podążając za samozwańczymi prorokami, gwiazdami popkultury, politykami, ludźmi sukcesu czy innymi, skleconymi przez media wzorcami. Jakże często czujemy się oszukani i rozczarowani. Pragnienie spotkania mistrza i zawierzenia mężczyźnie, który wie, jest tak wielkie, iż gotowi jesteśmy sycić się byle czym, idealizować i kreować pseudo autorytety, choćby na doraźny użytek.

W rezultacie czujemy się opuszczeni i oszukani nie tylko w rodzinie. Okazuje się, że również w naszym doświadczeniu społecznym, a nawet historycznym, jesteśmy zdradzani przez tych, których powołujemy na naszych zastępczych, idealnych ojców. Mało tego, wydaje się to dotyczyć także naszego doświadczenia religijnego. Nawet ci najwięksi, ci, którzy wiedzą, nigdy nie ukrywali, że powinniśmy utracić wszelką nadzieję. Jezus, gdy umierał, szeptał: „Ojczy, czemu mnie opuściłeś?” Budda, gdy umierał, ostrzegał: „Bądźcie światłem dla samych siebie.”

Chyba czas zobaczyć jasno, że wzywają nas do tego, byśmy uznali fakt naszego odwiecznego osierocenia, osamotnienia i odpowiedzialności, do tego, byśmy zaprzestali daremnego poszukiwania ojca na zewnątrz i zawierzyli swojej wewnętrznej mądrości, swojej prawdziwej, ukrytej w naszych sercach i umysłach tożsamości ojca i mistrza.

Strategie przetrwania

Przypisywanie wpływowi matki całej odpowiedzialności za to, w jaki sposób ukształtowała się nasza postawa wobec kobiet, jest oczywiście daleko idącym uproszczeniem. Czytając ten rozdział, pamiętajmy więc, że psychologiczna rzeczywistość jest znacznie bardziej skomplikowana i nie daje się opisać za pomocą prostych zależności. Liczba komplikacji jest nieskończona. W zależności od tego, czy było i jakie było rodzeństwo, czy byli i jacy byli dziadkowie, wujkowie, sąsiedzi i nauczyciele, w zależności od przeróżnych figlów i wyroków losu, wszystko mogło się przecież inaczej potoczyć. W rzeczywistości każda z opisanych poniżej relacji matka-syn może zaowocować innymi niż przedstawione w tekście sposobami radzenia sobie przez syna w dorosłym życiu. To, co poniżej, jest więc intuicyjnym przybliżeniem,

wywiezionym z mojego doświadczenia w kontaktach z ludźmi, i ma służyć ukazaniu wagi problemu.

Wieczne dziecko, czyli „zostaję z mamą”

Najpierw opowiem o synu, który postanowił zostać z matką, bo stracił nadzieję, że stanie się mężczyzną, albo przestał widzieć w tym cokolwiek atrakcyjnego. W każdym razie nie dostrzega żadnych otwartych przejść, które prowadziłyby z królestwa matki do świata mężczyzn.

Decydując się na pozostanie z matką, odcinamy sobie drogę do męskości. Bunt przeciwko skrywanej matczynej nadziei, że gdy dorośniemy, staniemy się jej wymarzoną mężczyzną, zmusza nas do zatrzymania się w rozwoju na etapie synka. Mówimy podwyższonym głosem, chodzimy drobnymi kroczkami, mamy spuszczoną głowę, uniesione ramiona, nadwagę. Sprawiamy wrażenie zawstydzonego i załamanego chłopca. Cały czas spędzamy z mamą, boimy się innych ludzi. Nasz świat jest ograniczony do świata matki, wszystkie nasze myśli i uczucia krążą wokół niej. Drepczemy ze starą matką po parkach i ulicach. Często bywamy bardzo zdolni, ale niewielu z nas wykorzystuje swoje możliwości, bo musiałoby się to wiązać z odchodzeniem od mamy ku ludziom i ku światu.

Nie ma w tym opiekuńczej postawy wobec matki. To chęć pozostania pod jej opieką, chęć pozostania w bezpiecznym, dziecięcym świecie i nie wychodzenia z niego. Matka wiele zrobiła, żeby wzbudzić w nas poczucie winy i bezsilności. Jest ono tak wielkie, że nie dopuszczamy nawet myśli o odejściu. Nasza niedojrzała seksualność w połączeniu z lękiem przed matką i tęsknotą za ojcem wyrażać się może potrzebą wchodzenia w kontakty seksualne z dziećmi, bo z nimi czujemy się bezpieczni. Ogrom zła, jakie popełniamy przy tej okazji, na ogół w niewielkim stopniu dociera do naszej świadomości.

Często znajdujemy się w sytuacji bez wyjścia.

Gdy słyszymy od mamy: „no, synku, już czas, żebyś się ożenił” albo „czas, żebyś zaczął zarabiać na siebie”, bywa, że na zasadzie biernego oporu próbujemy na coś się wreszcie nie zgodzić, ratując swoje poczucie godności. Nie zdajemy sobie sprawy, że ten rozpaczliwy sprzeciw ostatecznie pozbawia nas szansy na dojrzałość. Mama wychodzi na swoje. Zachowuje kontrolę nad naszym życiem i utrzymuje nas w emocjonalnej zależności.

Gdy, wypełniając matczyne oczekiwania, idziemy do pracy, a nawet żenimy się - również nie uciekamy spod jej wpływu. Pozostaje ona najważniejszą postacią w naszym życiu, ważniejszą od partnerki i od naszych własnych dzieci, jeśli się pojawią. Ona wszystko wie lepiej, o wszystkim decyduje. Oczywiście, nasz syn nieuchronnie zostaje przez nas zdradzony.

Nie jesteśmy w stanie wybronić go ani przed matką, ani przed babcią. Nie mamy swojemu synowi prawie nic do powiedzenia, nie pokazujemy mu świata, każdą wolną chwilę spędzamy u mamy. Syn dowiaduje się z bólem, że nie jest ważny dla ojca, że mama taty jest najważniejsza. Uczy się od nas szybko i sam uzależnia od swojej matki. Jeśli jest ona ciepłą kobietą, to grozi mu, że zostanie z nią na zawsze. Jeśli jest zimna i odrzucająca, to być może uda mu się uciec, ale przez resztę życia będzie beznadziejnie szukać ciepłej, kochającej mamy.

Don Juan, czyli „boję się tej jednej”

Inny sposób poradzenia sobie z dziedzictwem ojcowskiej zdrady można nazwać drogą Don Juana.

Pragniemy stać się mężczyzną. A być mężczyzną, w jednym z możliwych, stereotypowych ujęć, to zdobywać kobiety. Im więcej, tym lepiej, mimo wielkiej tęsknoty za tą jedyną i idealną.

W dzieciństwie zostaliśmy emocjonalnie uwiedzeni przez matkę. Była wobec nas nadmiernie kobieca. Chciała być przez nas podziwiana i wielbiona, a jednocześnie pozostawała niedostępna. Na tym polega uwodzenie: na wzbudzaniu nadziei i zachwyty, a jednocześnie byciu emocjonalnie nieosiągalnym. Jakże często to robimy!

Uwiedzenie staje się naszym podstawowym dziedzictwem, gdy jesteśmy Don Juanem. Matka

nie była w stanie otworzyć na nas swojego serca. Potrzebowała nas, ale nie kochała. Mieliśmy dostarczać emocjonalnej satysfakcji, której brakowało jej w związku z partnerem, a wcześniej w związku z rodzicami. W rezultacie ruszyliśmy w życie z przeświadczeniem, że nie zasługujemy na miłość kobiety, i z koniecznością udowodnienia sobie i światu, że tak nie jest. Niestety, potrafimy dać tylko tyle, ile dostaliśmy od matki. Rozkochiwać i zachwycać, przeżywać egzaltowane uniesienia - podczas gdy nasze serce, pełne lęku i niepewności, pozostaje szczelnie zamknięte.

W bliskim związku z kobietą, gdy pokazuje nam ona nie tylko swoje jasne i piękne strony, przeżywamy lęk i bezradność. Nie potrafimy bowiem odpowiedzieć tym samym. Okazałoby się przecież, że nie jesteśmy tacy świetni, że tak wiele potrzebujemy i tak bardzo jesteśmy samotni. Równałoby się to rezygnacji z naszego zachwycającego pozoru. To zbyt trudne. Dlatego, gdy nasza wybranka, ta wspaniała, uczyniona ze światła istota, nagle staje się kimś zwykłym i normalnym, potrzebuje ciepła, troski i wzajemności, ma ciało, które się zmienia, choruje i starzeje - nie potrafimy tego unieść.

Musimy więc szukać dalej i dalej - na próżno. W końcu starzejemy się i zostajemy sami, rozgoryczeni i niespełnieni, bo nie poznaliśmy i nie pokochaliśmy kobiety z krwi i kości. Przez żadną kobietę nie zostaliśmy też naprawdę pokochani.

Playboy, czyli „wolę się bawić niż się bać”

Za strategią playboya kryją się dwie podstawowe motywacje.

Pierwsza to chęć rewanżu. Pozostawieni matce przez ojca byliśmy traktowani przez nią jak przedmiot. Słodki chłopczyk, którego się ładnie ubierało, o którego się dbało, ale nie dla niego samego, lecz po to, aby sprawiał dobre wrażenie i był ozdobą mamy. Mogliśmy też służyć do chwalenia się przed innymi. Bo taki ładny albo tak się dobrze uczy, bo taki biedny, bo nie ma tatusia... Jednym słowem byliśmy we władzy matki i służyliśmy jej do jej gier z otoczeniem i z życiem. Z takiego doświadczenia powstały w nas z jednej strony pokłady gniewu, z drugiej zaś przekonanie, że związki między ludźmi, a w szczególności między kobietami i mężczyznami, polegają na manipulacji i wykorzystywaniu.

Druga motywacja jest związana z lękiem przed bliskością z kobietą. Dominująca i uprzedmiotowująca matka bywała dla nas postacią przerażającą. Gdybyśmy poddali jej się całkowicie, pochłonełaby nas. Jakikolwiek nasz sprzeciw wzbudzał jej niepokonany gniew. Strach zbliżyć się do kogoś takiego. Jedynym ratunkiem była strategia biernego oporu, uciekanie w świat fantazji i odcinanie się od własnego ciała. Teraz, jako dorośli, potrzebujemy silnych bodźców, żeby poczuć, że żyjemy. Ale najbardziej odcięta, niedostępna kraina naszego ciała pozostaje serce, które boi się zaangażować. W tej sytuacji jedynym sposobem na zapewnienie sobie upragnionego i zbawiennego kontaktu z kobietami jest uwodzenie i seks bez zobowiązań.

Seks, który daje niezbędne nam poczucie bezpieczeństwa i komfortu, staje się silnie uzależniającym substytutem miłości. Nie wiemy prawie nic o tym, jak wiele w naszych związkach z kobietami mogłoby się zdarzyć - poza seksem.

Dzięki seksowi bez zobowiązań wchodzimy w upragniony kontakt z zastępczą, idealną matką, tym razem na swoich warunkach i pod pełną kontrolą. W naszym postępowaniu przejawia się nie spełniona w swoim czasie chłopięca potrzeba pełnego dostępu do matki. Chcemy, żeby mama była wreszcie dla nas, a nie my dla niej. Tak powinno być wtedy, kiedy byliśmy dziećmi. Nie wiemy jeszcze albo nie chcemy wiedzieć, że próby realizowania naszych dziecięcych potrzeb w dorosłym życiu przynoszą cierpienie nam i wszystkim wokół nas. „Pozwól mi być blisko, ale nie ograniczaj mnie i nie zobowiązuje do czegokolwiek.” To jest nasza ukryta prośba kierowana do kobiety, gdy występujemy w przebraniu playboya. W rzeczywistości brzmi to na ogół tak: „Umawiamy się na zabawę, to nic poważnego. Tylko się nie zakochaj.”

Ale nawet najbardziej wymyślny i wyrafinowany seks, jeśli jest odłączony od serca, nie da nam spełnienia, którego tak pragniemy. Może się ono pojawić tylko wtedy, gdy jesteśmy w

głębokim, bezpiecznym i trwałym związku z kobietą, w który obie strony mogą całkowicie się zaangażować. Naszą tragedią jako playboya jest to, że zakazujemy sobie i swoim kobietom tego, czego najbardziej potrzebujemy - zaangażowania serca i całkowitego otwarcia. Dlatego ta, która mimo wszystkich ostrzeżeń zakochuje się w nas, jest groźna, ale jeszcze bardziej pociągająca. Wydaje nam się, że znowu jakaś kobieta chce nas manipulować w trwały związek po to, aby czegoś od nas chcieć. Za bardzo nam się to kojarzy z matką, abyśmy mogli przy niej pozostać. Unikamy jej, ale do niej wracamy. Dążymy do chwilowych zbliżeń, a potem przepadamy na długo. W ten sposób za każdym razem kradniemy trochę prawdziwej miłości, dając w zamian jedynie chwilowy zapal i zachwyty. Nasza zdolność do dawania miłości nieświadomie wyraża się jedynie w seksie, co zwiększa nasze przywiązanie do niego, ponieważ każdy człowiek pragnie wyrażać miłość. Tu ujawniamy swoje drugie ja, wrażliwe, czułe, spragnione i zachwycone. Po wyjściu z łóżka jesteśmy nie do poznania. Wycofujemy się ze wszystkiego. Kobiety mówią o nas z przekąsem „nocni poeci”.

Uzurpator, czyli „żeby się tylko nie wydało”

Strategię uzurpatora jesteśmy zmuszeni zastosować, gdy odejście ojca kieruje na nas gniew i wrogość matki. Albo gdy ojciec wspina się po naszych plecach, aby sobie poprawić samopoczucie.

Matka mści się na nas za to, że jesteśmy owocem jej nieudanego związku, żywym wspomnieniem ojca, który zdradził i odszedł. Zbieramy baty za jej ojca i za swego ojca. Matka z upodobaniem upokarza i zawstydza nas wobec innych. Na spotkaniach rodzinnych, na przyjęciach, wobec kolegów, w szkole, wobec nauczycieli. Nigdy nie jest po naszej stronie. Kolekcjonuje sytuacje, w których ktoś się o nas krytycznie wyraża lub ma do nas pretensje. W ten sposób usprawiedliwia swoją negatywną, wrogą wobec nas postawę.

Po wielu latach takiego traktowania zmuszeni jesteśmy podjąć następującą decyzję życiową: „Tak się urządzę w życiu, żeby mnie nikt więcej nie dopadł. Uzyskam taką moc i wpływ na swoje otoczenie, że zabezpieczą mnie one raz na zawsze przed kompromitacją i upokorzeniem. Będę miał taką siłę, że zawsze się obronię.”

Równie dobrze ojciec może być źródłem naszej kompromitacji i upokorzenia. Matka usiłuje wtedy leczyć nasze rany, wychwalając nas nadmiernie. Ale ojciec nie przepuści żadnej okazji, żeby zademonstrować swoją druzgocącą przewagę i pokazać nam, że jesteśmy do niczego. Sam wewnętrznie niepewny siebie, deprecjuje po nas, aby poprawić sobie samoocenę. Zaczynamy wierzyć, że nic nie potrafimy i nic nie jesteśmy warti. Nade wszystko czujemy, że nikt nas nie zna i nie kocha. Wolna od przekłamań informacja ze strony ojca na temat tego, co potrafimy, jakie są nasze mocne i słabe strony, jest nam niezbędna jak powietrze. Jeśli nie znajdziemy jej u niego, będziemy szukać gdzieś indziej. Przy dużej dozie szczęścia spotkamy autorytety na tyle wiarygodne, aby to, czego się od nich dowiemy o sobie, uznać za ważne i wystarczające.

Niełatwo jest z takim dziedzictwem wchodzić w życie i radzić sobie z kobietami. Nasza skrywana niepewność skłaniać nas będzie do szukania partnerki słabej, odczuwającej wdzięczność za to, że została wybrana. To zapewni nam przewagę i poczucie bezpieczeństwa.

Będziemy kupować miłość i uznanie za drogie prezenty. W końcu uwikłamy się w sytuację bez wyjścia. Nigdy nie będziemy pewni, czy kobieta, która z nami jest, kocha nas i czy naprawdę nas wybrała. Skazani na poszukiwanie bezpieczeństwa, będziemy żyć w lęku przed wstydem, z głodem miłości i bólem w sercu.

Inkwizytor, czyli „to wszystko przez nią”

„To wszystko przez nią.” Ten rodzaj myślenia o relacji mężczyzn i kobiet można w jakiejś formie znaleźć we wszystkich innych omawianych tutaj męskich postawach i sposobach na życie. To najbardziej podstawowy stereotyp, stereotyp Adama, pierworodnego syna Boga, dla którego kobieta została stworzona jako wcześniej nie planowany dodatek, ku pomocy i

rozrywce. Tak przynajmniej brzmi jedna z dwóch obowiązujących wersji Genesis. Druga stawia sprawę inaczej: Bóg stworzył kobietę i mężczyznę jako dwie równorzędne istoty. Popularność pierwszej zawdzięczamy z pewnością temu, że wywyższa mężczyznę. Druga jest mniej popularna.

W dalszym biegu historii, jako wywyższeni przez Boga, dajemy sobie prawo, by stać się sędziami, inkwizytorami, ustawodawcami, panami tego świata, kontrolującymi i ograniczającymi kobiety. Ponieważ jednak, jako sędziowie, musimy mieć czyste tece, zmuszeni jesteśmy coś zrobić z hańbą grzechu pierworodnego. Spychamy więc na kobietę winę za ten grzech. Samych siebie zaś widzimy w roli namówionych i uwiedzionych ofiar. Ogłaszamy światu, że całe nasze cierpienie to wina kobiety, która uległa namowom szatana.

Wina tak zasadnicza musi rzucać cień na wszystkie inne przejawy i atrybuty kobiecości. A więc to jej wina, że tak na nas działa, że taka śliczna, że myśli i czuje inaczej. Jej winą jest to, że jej tak pragniemy i potrzebujemy. Jej czar i magnetyzm to szatańska sztuczka i dlatego musimy się przed nią bronić, zmieniać ją, ograniczać, nierzadko pogardzać i niszczyć. Jej wina, w naszym mniemaniu, jest tak wielka, że stanowi usprawiedliwienie dla każdej naszej męskiej niegodziwości. Dlatego tak niewielu kobietom udaje się przeżyć dzieciństwo i dojrzewanie bez seksualnego nadużycia lub gwałtu, a życie dorosłe bez zdrady i upokorzenia z naszej strony. Są tacy wśród nas, którzy zawsze znajdują potwierdzenie swoich najgorszych przeświadczeń na temat kobiet, ponieważ, nie wiedząc o tym, noszą w sercu żal, strach i gniew przeniesiony z dzieciństwa w dorosłe życie.

Pozostawieni sam na sam z agresywną, nie panującą nad emocjami, pełną żalu i seksualnie zaniedbaną matką, łatwo stajemy się jej przerażoną ofiarą „Oho, jaki brzydki chłopczyk, podgląda mamę ” A potem „Jak ty możesz chcieć mi wchodzić do łóżka” Albo „Jak ty się do mamy przytulasz?”

Albo „A co te plamy na prześcieradle znaczą? Proszę położyć ręce na kołdrze. Czym ty się tam bawisz? Nadużycia są też często popełniane pod pretekstem czynności higienicznych czy zabiegów leczniczych.

Gdy drżąc z przelężenia i nadziei próbujemy zbliżyć się do uwodzącej matki, nie słyszymy od niej zbawiennego „Jesteś moim kochanym synkiem, przytul się do mamy na chwilę i idź spać do siebie ” Zamiast tego słyszymy poniżające i bolesne, a zarazem budzące niejasną, zakazaną nadzieję „Jeszcze jesteś za mały ”

Bycie na przemian uwodzonym i w poniżający sposób odrzucanym przez matkę to tortura, która na resztę życia może odebrać nam ochotę i możliwość zbliżenia się do kobiety. Gdy jesteśmy sam na sam z taką matką, nie możemy zdać sobie sprawy z tego, co się dzieje. Stracilibyśmy bowiem jedyne oparcie i najważniejszą ukochaną osobę. Musimy więc wszystkiemu zaprzeczyć. Bierzymy winę na siebie i idealizujemy matkę.

Gdy dorastamy, żywimy przekonanie, że matka była wspaniałą osobą, którą należy stawiać wszystkim za wzór. Aby się w tym iluzorycznym przekonaniu utwierdzić, z poczuciem misji zaczynamy dążyć do tego, by wszystkie inne kobiety w naszym otoczeniu były takie, jak nieprawdziwy obraz naszej matki. Gdy nasz nieświadomy lęk, gniew i żal do niej zostaną usankcjonowane kulturowym stereotypem winy i upadku kobiety, łatwo je opakować w pozór świętego posłannictwa na rzecz kobiet. W gruncie rzeczy jednak stajemy się tyranami, bezlitośnie wprowadzającymi pod przymusem to, co wydaje nam się dla nich dobre i zbawienne.

W naszych intymnych, skrywanych fantazjach seksualnych możemy podążać w stronę masochizmu po to, aby w atmosferze kary i potępienia móc przeżywać w pełni naszą zakazaną fascynację matką.

W skrajnych wypadkach wyparta nienawiść do matki w połączeniu z przemożną potrzebą doświadczania bliskości z kobietą mogą nas zaprowadzić na tragiczne i przerażające manowce okrucieństwa i gwałtu.

Jeśli odważymy się związać na stałe z kobietą, to na pewno z kobietą uległą i spełniającą

nasze ukryte pragnienie matki, poczuwającej się do winy. Winną i przepraszącą, że żyje, dopuszczamy do naszych łask i wspaniałomyślnie dzielimy z nią łożę. Ceną, jaką płaci za tę łaskę, jest całkowite podporządkowanie i odgrywanie do końca roli skruszonej grzesznicy. Jeśli się buntuje, nasz gniew jest wielki. Zostaje „wtrącona do lochu”, nieuchronnie trafia do kategorii kobiet, które nie dość, że zawiniły, to w dodatku nie okazują skruchy. Tym samym traci prawo do istnienia w świecie pierwotnych synów Pana Boga.

Macho, czyli „im ona gorsza, tym ja lepszy”

Macho jest podobny do inkwizytora, jednak ze względu na swój temperament bardziej potrzebuje fizycznego kontaktu z kobietą. Mógł mieć matkę, która była wobec niego tyranem, a ojcu drżącymi rękoma podawała obiad na stół i czekała na recenzję. Jeśli nie smakowało, gotowała następny. Wobec ojca była podnóżkiem, służącą, żyjącą w poczuciu winy i wstydu, które mogłyby zmyć jedynie ofiarną służbą, byciem potrzebną i pomocną. Wobec syna pełniła rolę absolutnego, domowego władcy, wciągając go w upokarzającą służbę panu-ojcu. Ojciec oczywiście nie przejawiał w tej sytuacji szacunku dla matki. Oddał jej w posiadanie dom wraz ze zlekceważonym synem jako zakładnikiem i używał żony, gdy była do czegoś potrzebna.

Bycie upokarzonym przez matkę pogardzaną przez ojca jest dla nas hańbą podwójną. Nic dziwnego, że nie możemy się doczekać, kiedy wreszcie, tak jak ojciec, odbijemy sobie na naszych własnych kobietach. Czasami możemy się odegrać już wcześniej, gdy - po odejściu ojca - wstępujemy na opustoszały tron i przejmujemy władzę nad matką. Gdy próbujemy radzić sobie z życiem w przebraniu macho, nie mamy poczucia misji i potrzeby naprawiania kobiet. Wydaje nam się, że znamy je na wylot. Nie mamy żadnych złudzeń. Tak dobieramy kobiety w swoim otoczeniu, żeby móc je wykorzystywać z pełnym przekonaniem, że im się to należy. Te, które ulegają, tolerujemy, ale bynajmniej nie darzymy ich szacunkiem. Te, które nie ulegają, obdarzamy bezgraniczną pogardą, bo nie zdają sobie sprawy z tego, jak bardzo są winne i marne. Kobieta, mająca jakiegokolwiek inne aspiracje niż służenie mężczyźnie, śmieszy nas niepomernie.

Tak głęboko wypieramy się przed sobą potrzeby otrzymywania od kobiet ciepła, czułości i troski, że im również odmawiamy prawa do takich potrzeb.

W seksualnych kontaktach z kobietami redukujemy siebie do roli zwycięskiego samca. W konsekwencji kobietę sprowadzamy do roli uległej samicy. Można powiedzieć, że uprawiamy sodomie. Wulgaryzujemy nasze związki z kobietami, również w warstwie językowej, odmawiając spotkaniu kobiety z mężczyzną jakiegokolwiek ludzkiego wymiaru, sensu czy doniosłości. Chcemy wierzyć, że kobiecie w życiu chodzi tylko o to, aby zostać zaspokojoną seksualnie, ewentualnie wydać na świat potomstwo. Inne aspiracje kobiet są dla nas tak śmieszne, że nawet nie zadajemy sobie trudu, aby je ukrócić. Swoją rolę widzimy w tym, aby kobiecie uzmysłwić jej małość i pokazać, gdzie jest jej miejsce.

Gdy stosujemy strategię inkwizytora, kobieta ma przynajmniej teoretyczną szansę na łaskę i wybaczenie. Gdy jesteśmy macho, nie oferujemy jej nic prócz pogardy, cynizmu i potępienia. Ta, którą wybieramy na stałą partnerkę, musi czuć się wdzięczna za to, że z nią jesteśmy, a zatem tolerować wszelkie nasze zachcianki i kochanki. Dajemy sobie oczywiście prawo do fizycznego makietowania jej. To jest wpisane w naszą rolę i pozycję. Nie jako misja, jak to może mieć miejsce w wypadku inkwizytora, ale jako niechętnie podejmowany trud wychowawczy albo wręcz zabieg leczniczy, „bo jak się baby nie bije, to jej wątroba gnije”

Gdy jesteśmy typem macho, kobiety nie mają z nami szans. Za bardzo jesteśmy zranieni, zbyt wielka jest nasza wewnętrzna hańba, abyśmy mogli zrezygnować z poprawiania sobie samopoczucia przez wspinanie się po ich plecach. Nie wiemy, że nasza pogarda dla kobiet odzwierciedla naszą pogardę dla samych siebie. Nie możemy i nie chcemy tego zobaczyć.

Tak się składa, że w rejonach silnie nasłonecznionych częściej obserwuje się postawę macho, czyli upokarzający stosunek mężczyzn do kobiet. Widocznie słońce daje tyle gorącej, męskiej energii, że nie ma jak jej pomieścić, a im trudniej mężczyznom kontrolować swoją seksualność,

tym bardziej winne są kobiety. W konsekwencji są bardziej jeszcze upokarzane i pilnowane, muszą się chować i zakrywać. Z drugiej strony brak partnerskich, intymnych i ciepłych związków z kobietami oraz tęsknota za ojcem powodują, na zasadzie kompensacji, szczególną bliskość i serdeczność, a czasami wręcz pieszczotliwość w kontaktach między mężczyznami typu macho przytulanie się, obejmowanie, siadanie sobie na kolanach, całowanie się w usta, spędzanie ze sobą po pracy długich godzin na ławce lub stojąc w grupie, choćby na środku ulicy. Synowie siedzą wtedy w domach z matkami

Gej, czyli „niech jakiś mężczyzna mnie pokocha”

Za tym sposobem radzenia sobie z życiem, z kobietami i z ojcowską zdradą stoi przede wszystkim ogromna tęsknota za ojcem.

Ojciec jest uległy, zależny, upokarzany przez dominującą, autorytarną matkę, która jednocześnie niszczy nas choćby pośrednio, poprzez upokarzanie ojca. Wtedy, patrząc na ojca, myślimy „Nie chcę być taki jak on.” Takie postanowienie zawiera w sobie potencjalną groźbę odmowy bycia mężczyzną w ogóle. W dodatku po to, by uniknąć represji ze strony matki, zasłużyć na jej przychyłność i poprawić własną samoocenę, wchodzimy z nią w sojusz przeciwko ojcu. Sami zdradzeni, szybko zdradzamy ojca i przystępujemy do obozu matki. Mamy z tego tytułu przywileje, cieszymy się jej względami, uważa nas za sojusznika, wyróżnia i nagradza. Z czasem, gdy orientujemy się, że chce nas wykreować na swojego idealnego mężczyznę, zaczynamy czuć na barkach ciężar jej oczekiwań. Ojciec praktycznie nie istnieje w domu, więc robi się niebezpiecznie. Czujemy się wciągani w edypalno-opiekuńczy związek z matką. W ten sposób pojawia się jeszcze jeden powód, dla którego stawianie się mężczyzną jawi się jako zbyt ryzykowne. W głębi duszy bowiem bardzo obawiamy się tego rodzaju przywiązania do matki. A dystansując się w sobie od tego, co męskie, z jeszcze większą trudnością zdobywamy się na postawienie matce granic. Jeszcze bardziej zdani jesteśmy na jej łaskę i niełaskę.

Nie chcemy stać się takim mężczyzną jak ojciec. W dodatku, patrząc na to, co dzieje się między matką a ojcem, widzimy, że wejście w związek z kobietą musi skończyć się dla nas tym, co spotkało ojca — wstydem, upokorzeniem, „wykastrowaniem”. Wiele zależy od tego, co się dalej wydarzy w naszym życiu. Tak czy owak będziemy podatni na wszelkie próby uwiedzenia ze strony mężczyzn. Bardzo potrzebujemy ich towarzystwa, silnych, opiekuńczych ramion, emocjonalnego wsparcia. Potrzebujemy kogoś, kto jest dla nas wzorem, intelektualnym i emocjonalnym partnerem, a nie gapą i ciamajdą jak ojciec. Łatwo możemy dać się uwieść gejom czy pedofilom, którzy, sami zdradzeni przez ojców, nieomylnie wyczuwają i odnajdują spragnionych męskiej miłości chłopców.

Oczywiście, w głębi naszego serca tli się niezaspokojona potrzeba bliskości z ciepłą, bezpieczną i silną matką. Dlatego chętnie wchodzimy w przyjacielskie kontakty z kobietami. Kobiety cenią sobie bardzo te przyjaźnie, bo czują się w nich bezpieczne. Kobieta może się spokojnie przytulić do mężczyzny-geja, o wszystkim z nim porozmawiać i być pewna, że nie będzie chciał niczego więcej. Nie wszyscy ojcowie gwarantują córkom choćby takie podstawowe bezpieczeństwo.

Nie przypadkiem jako geje stajemy się czasami wybitnymi kreatorami mody damskiej. Traktujemy kobiety jak kwiaty, jak dzieła sztuki, jak piękne przedmioty. W sposobie, w jaki ubieramy, a raczej rozbieramy kobiety, jest element potężnej seksualnej prowokacji wobec heteroseksualnej męskiej większości - czyli prowokacji wobec ojca. Chcemy za pośrednictwem pięknych modelek wzbudzić jego zachwyty. Tęsknimy za byciem kimś, od kogo ojciec nie mógłby oderwać oczu. Gdy jesteśmy gejem - kreatorem mody, zdobywamy uwagę ojca dzięki pięknej modelce, z którą się identyfikujemy. Jako transwestyci posuwamy się jeszcze dalej. Po to, aby zainteresować i zachwycić ojca, rzeczywiście przeistaczamy się w kobietę.

W stronę homoseksualności może nas skierować także sytuacja odwrotna do wyżej opisanej

odrzucający jest ojciec. Przyszły ojciec, który nie miał ojca, woli mieć za dzieci dziewczynki bo jest bezradny w postępowaniu z chłopcami. Gdy staje się ojcem, odrzuca nas przez pierwsze 10-12 lat życia. Później, nieświadomy tego, co narobił, widząc, jak bardzo związaliśmy się z matką, zabiera się gwałtem za nasze wychowanie. Wewnętrznie sam nadal czuje się chłopcem i dlatego realizuje program dowodzenia sobie i światu, że jest mężczyzną. Przez pierwsze lata naszego życia tak jest tym zajęty, że zapomina o naszym istnieniu.

Z czasem jednak zaczynamy być kompromitacją dla jego męskiej reputacji. Nie pasujemy do wyznawanego przez mego wzorca męskości. Wtedy ojciec egoistycznie i bezmyślnie chce do swojej heroicznej historii dopisać rozdział pod tytułem „Zobaczcie, jakiego mam syna ” Ale my nie jesteśmy w stanie przyjąć tak spóźnionej i pozbawionej serca inicjatywy wychowawczej. Stawiamy opór, który wypycha nas jeszcze głębiej w objęcia matki, a tęsknota za dobrym ojcem, który umiałby przede wszystkim kochać, a potem dopiero wymagać, staje się jeszcze bardziej rozpaczliwa.

Podporządkowana ojcu matka próbuje wynagrodzić nam brak ojcowskich uczuć. Jest wprawdzie ciepła, ale sama nieszczęśliwa i potrzebująca, nieświadomie szuka w nas oparcia. Wyczuwamy to i odruchowo chcemy się odsunąć. Poczucie winy okazuje się jednak tak silne, że w końcu ulegamy. Stajemy się jej opiekunem i powiernikiem.

Matka z pewnością nie jest dla nas atrakcyjnym wzorem kobiety. Nie potrafi błysnąć okiem, wyprostować się, zakolysać biodrami, zatańczyć, zaśpiewać, krzyknąć czy zapragnąć czegoś całym sercem Jawi się jako biedactwo, którym trzeba się opiekować.

W końcu bezradny wobec naszego oporu ojciec oddaje nas w tak zwane „dobre ręce”, czyli do internatu, do wojska czy czegoś w tym rodzaju. Wyruszamy w świat niedojrzali i spragnieni takiego kontaktu z mężczyzną, który zawierałby w sobie choćby odrobinę zachwytu, dawał poczucie, że jest się dla niego ważnym, upragnionym. Potrzebujemy mężczyzny, do którego moglibyśmy się spokojnie przytulić, a w chwilach lęku czy niepokoju nawet spać w jego łóżku.

Jako ojcowie robimy wielki błąd, odmawiając synom kontaktu fizycznego. Często postępujemy tak ze strachu przed własnym podejrzeniem o nasz nieświadomy homoseksualizm. Bierze się ono z niezaspokojonego pragnienia bliskości z naszym ojcem Im większe jest to pragnienie, tym bardziej nas niepokoi i tym dalej odsuwamy syna. Nie rozumiemy, czego od nas chce. Nikt nam nie powiedział, że to naturalne i zdrowe, chcieć przytulić się do ojca.

Sytuacją, w której ta potrzeba bezpiecznie się ujawnia, bywa wspólne picie z mężczyznami. Wtedy wreszcie możemy się obcałować i na przytulać z jakimś kumplem czy przygodnym kompanem od kieliszka. Ale nasi synowie nigdy nie znajdą do nas drogi. Mogą tylko skrycie marzyć o bezpiecznej bliskości z opiekuńczym mężczyzną.

Nie wszystko o gejach i nie wszystkich gejów da się do końca zrozumieć w tych kategoriach. Zaryzykowałbym jednak twierdzenie, że coraz powszechniejszy męski homoseksualizm jest wielkim wołaniem o prawdziwego ojca. Podobnie jak homoseksualizm kobiet jest wielkim wołaniem o prawdziwą matkę.

Wyznawca, czyli „to Bóg jest moim ojcem”

Z psychologicznego punktu widzenia najbardziej powszechne wyobrażenie Boga, jako postaci ludzkiej, i cała ikonografia, która przez wieki w związku z tym wyobrażeniem powstała, są niezwykle pociągające dla spragnionych ojca chłopców. Wizerunki tych mądrych, potężnych mężczyzn w sile wieku działają na nich jak balsam. Tym bardziej, że Bóg-mężczyzna posiada zasadnicze cechy idealnego ojca. Jest wszechmogący, wszechobecny i wieczny. Możemy się go obawiać, że kiedykolwiek nas opuści, zdradzi, zniknie, że załamią go jakieś trudności. Śmierć nie jest w stanie go osiągnąć, a nawet nasza śmierć nie przeszkadza mu w wypełnianiu ojcowskiego powołania. Jego wymagania i surowość podyktowane są miłością do nas i troską o to, abyśmy w pełni stawali się tym, czym potencjalnie jesteśmy. Wszystko widzi i wszystko wie, ale nie wtrąca się w nasze życie, pozwala wybierać i gotów jest wybaczyć nawet największe

nasze błędy. Wie, kim mamy się stać, i zna drogę, którą powinniśmy iść. Jasno określa wymagania, warunki i reguły obowiązujące w tej podróży. Od czasu do czasu daje znak, że jest z nas zadowolony. W końcu, jeśli dochowamy mu wierności, da nam pieczęć zbawienia.

Niewykluczone, że tak bardzo ojcowskie pojmowanie Boga ukształtowane zostało w dużej mierze przez pokolenia wytęsknionych za ojcem dorosłych chłopców. Zwróćmy uwagę, że Bóg-Ojciec daje nam, chłopcom, tak upragnione poczucie szczególnej więzi z Nim i wyjątkowości. Tylko my możemy zbliżyć się do niego, zostać jego kapłanami i namiestnikami. Dla nas, chłopców, zarówno tych małych, jak i dużych, jest to sytuacja, która spełnia wszystkie nasze odwieczne marzenia.

Mnich, czyli „zostaję sam”

Mój przyjaciel z dawnych lat, gdy porzucił wspinanie się po skałach, powiedział „W pewnym momencie wspinanie się na górę staje się czymś łatwiejszym niż życie na nizinach, a z pewnością łatwiejszym niż spotkanie z kobietą i założenie rodziny. Ponieważ zawsze chciałem robić to, co trudniejsze, przestaję się wspiąć i zakładam rodzinę.”

Kompulsywne poszukiwanie ekstremalnych sytuacji nie tylko uzależnia nas od adrenaliny i iluzji męskiej kompetencji, ale może być też wyrazem obawy, że nie jesteśmy jeszcze gotowi do wzięcia odpowiedzialności za rodzinę. Potrzebujemy najpierw przekonać się, że jesteśmy już mężczyznami.

Niestety, nasza inicjacja trwa w nieskończoność i często przekształca się w uzależnienie od izolacji i braku odpowiedzialności. Po jakimś czasie górską, monastyczną czy jakakolwiek inną kompulsję inicjacyjną może stać się jedynie fasadą, zakrywającą naszą niedojrzałość, czymś w rodzaju niekończącego się obozu skautów.

To rozumiacie, że unikamy kobiet, skoro nie czujemy się jeszcze mężczyznami. Jeśli nawet stworzymy jakieś rodziny, to i tak będziemy uciekać do pracy, w góry, na morze, do knajpy, gdzie się da. Nie wyrwano nas we właściwym momencie z objęć matki. Uzależnione od matki dziecko jeszcze w nas nie umarło, więc bliskość z kobietą grozi nam nieuniknionym upokorzeniem nadmiernego przywiązania.

Inicjacyjne procedury od tysiącleci obecne w naszej kulturze podpowiadają, że chłopca trzeba wyrwać z objęć matki między szóstym a ósmym rokiem życia, a następnie dać mu przeżyć próbkę męskiego losu po to, by mógł wrócić do kobiet już jako mężczyzna i wojownik.

Pozbawieni tego kluczowego doświadczenia, a zarazem gnani silnym popędem seksualnym, wkraczamy w świat kobiet bezradni i bezbronni, z całym bagażem naszych dziecięcych potrzeb, oczekiwań i zranień. Potem przez resztę życia błądzimy, szamoczymy się i cierpimy - nie oszczędzając też cierpień kobietom - gdy okazuje się, że nasz wewnętrzny mały chłopczyk nie może znaleźć spełnienia i ukojenia w dorosłym świecie, rządzącym się zasadą dyscypliny, odpowiedzialności i odwagi.

Jeśli zważymy, że z drugiej strony możemy mieć do czynienia z dużymi-małymi dziewczynkami, które bardzo potrzebują męskiej opieki i wsparcia, to otrzymamy obraz najczęściej w naszych czasach spotykanego związku kobiety i mężczyzny. Dwoje małych dzieci przebranych za dorosłych walczy zażarcie o to, kto komu siądzie na kolanach. Obolali, rozgoryczeni i zalęknieni szukamy schronienia w samotności, osładzanej od czasu do czasu płatną miłością.

Czasami decyzja o życiu w pojedynkę jest decyzją o życiu w celibacie, który zapewne po to, aby lepiej się z tym poczuć, nazywamy czystością. Nigdy dość powtarzać, że cnota jest tylko tam, gdzie jest wybór. Jeśli spojrzeć na to, co się dzieje w naszej kulturze z wychowaniem chłopców, to widać, że w przeważającej liczbie przypadków życie bez kobiet ma niewiele wspólnego z naszym prawdziwym wyborem, a więc i z cnotą, za to więcej z bezradnością, ucieczką, gniewem i rozgoryczeniem.

Dlatego wśród tych z nas, którzy - niezależnie od wyznania - wybrali stan duchowny i

zdecydowali się na celibat, można często obserwować bardzo niedojrzały stosunek do seksualności i do kobiet. Wielu z nas po prostu sobie z tym nie radzi. O popełnianych przez duchownych nadużyciach wobec kobiet słychać ze wszęch stron.

Żalostne i godne potępienia seksualne nadużywanie kobiet, a coraz częściej także dzieci, uznać trzeba za wynaturzony i tragiczny przejaw naszej niedojrzałości, niewiary w to, że można nas pokochać, i gniewu zrodzonego z odrzucenia przez matkę. Ta niewiara i gniew w połączeniu z naszą przemożną potrzebą bliskości, dawania i otrzymywania miłości oraz wzbudzania zachwyty sprawiają, że często zachowujemy się wobec kobiet nieobliczalnie, agresywnie, niegodziwie i strasznie.

Ale nienawiść, pogarda i obrzydzenie, wypisane na sztandarach tych z nas, którzy uznali się za kompetentnych orędowników czystości i cnoty, to jeszcze bardziej niebezpieczny, zabójczy i okrutny sposób radzenia sobie z naszą niedojrzałą, zranioną męskością. Sieje śmierć i zniszczenie na skalę nieporównywalną z tym, co jest zasmucającym dziełem seksualnych przestępców i dewiantów. Od tysiącleci zabija dusze i ciała milionów dziewczynek i kobiet, a jednocześnie zatrząskuje nasze męskie serca na miłość, zachwyty, tkliwość, oddanie i radość, czyli na samą esencję życia, bez której traci ono smak, barwę i głębszy wymiar.

Tu leży prawdziwa przyczyna wszelkich naszych dewiacji. Nasza męska seksualność domaga się zaspokojenia w bliskości z kobietą, ale pozbawiona dostępu do serca, skażona wstrętem, pogardą i nienawiścią staje się dziką bestią, która niszczy zarówno nas, jak i te, których tak pragniemy.

Nieuchronnie wpadamy w dewiacje manifestujące się albo wyrodzoną, ślepą i nienawistną seksualnością, albo wyrodzoną, ślepą i nienawistną cnotliwością.

Bywa i tak, że decydujemy się na celibat, mając zdrowy, mądry, pełen miłości stosunek do kobiet i zrozumienie istoty seksualności. Decyzja o celibacie jest wówczas budzącą szacunek rezygnacją: „Skoro chcę się poświęcić głoszeniu prawdy i pomaganiu ludziom, łatwiej mi to będzie robić, gdy nie założę własnej rodziny. Będę miał więcej czasu, więcej energii, więcej możliwości. Będę mógł wyjechać w każdej chwili na koniec świata i nikomu nie sprawę tym bólu. Co bardzo ważne, nie zdarzy mi się też zdradzić syna.”

Ale niestety, we wszystkich religiach są tacy, którzy wybierają Boga, wiarę czy doktrynę nie dla ludzi, tylko przeciwko nim. Wielu z nas wybiera Boga przeciwko kobietom, nie dostrzegając tego, że nie sposób wybrać Boga i jednocześnie pogardzać potową ludzkości, w tym matką, która wydała nas na świat.

Jak można wybrać Boga i pogardzać w ogóle kimkolwiek? Jak można wybrać Stwórcę i pogardzać tym, co stworzył najlepszego: kobietą, mężczyzną, seksem? Czy nie lepiej z pokorą poddać się boskiemu wyrokowi i uznać, że kobiety i mężczyźni skazani są na wieczne zachwywanie się sobą nawzajem. Czy nie w tym właśnie doświadczeniu zachwyty, miłości, radości i całkowitego oddania, jakie stają się naszym udziałem w seksie, najżywiej doświadczamy istoty tego co boskie? Seks jest niewątpliwie najpotężniejszą, najgłębszą i najszerzej praktykowaną modlitwą. Niestety, przez większość praktykowaną nieświadomie, w pomieszaniu i wstydzie. Chyba już czas naszej seksualności przywrócić właściwą rangę, abyśmy mogli modlić się w ten sposób, oddając się sobie bez reszty, z miłością, szczerze i serdecznie, a co najważniejsze w dobrej wierze, czyli z przekonaniem, że Bóg - czy jakkolwiek To nazwiemy - tak chce.

Dopiero z takiego punktu widzenia celibat jawi się jako ogromne poświęcenie, a nie pozorny wybór, wynikający z lęku, obrzydzenia czy pogardy.

Gniew matki

Chłopiec zdradzony przez ojca zostaje pozbawiony pozytywnego wzoru odnoszenia się do kobiet. Ojciec, sam borykający się ze skutkami zdrady ze strony swojego ojca, nie może być

przecież w dobrych relacjach ze swoją partnerką. Jeśli od niej odchodzi, to w oczach syna jego nieobecność sama przez się pokazuje, że trwały związek z kobietą jest dla mężczyzny czymś zbyt trudnym do uniesienia.

Matka ma oczywiście własne kłopoty ze sobą i z mężczyznami. Gdyby ich nie miała, to z pewnością nie związałyby się na stałe z partnerem, tak bardzo skłonny do zdradzania swego syna i jej samej. Z tych samych powodów doświadcza ona trudności w relacji z synem, a pozbawiona wszelkiej pomocy ze strony partnera, rozwiązuje je, jak może i umie. Gromadzi się w niej mnóstwo gniewu, który na wiele sposobów przejawia się w stosunku do syna. Trzy z nich spotykamy stosunkowo najczęściej. Syn staje się albo „upragnionym wrogiem”, albo „znenawidzonym wybawicielem”, albo „zagniewanym panem”.

Gdy stajemy się dla matki upragnionym wrogiem, to oczywiście nie przyznaje się ona do tego nawet przed sobą. A tym bardziej przed nami i przed światem. Zdarza się i tak, że świadomie i otwarcie zachowuje się agresywnie wobec nas. Częściej jednak agresja matki bywa opakowywana w różowy papierek nadopiekuńczości, co „kastuje” nas jeszcze skuteczniej, ponieważ spragnionemu miłości dziecku trudniej jest przeciwstawiać się tak zakamuflowanej wrogości.

Gdy stajemy się znenawidzonym wybawicielem, wtedy agresja matki przybiera przede wszystkim formę nadmiernego obciążania nas jej kłopotami, chorobami i problemami (szczególnie tymi, które przeżywa z ojcem), wymuszania opiekuńczej postawy wobec niej, zobowiązywania nas do bezwzględnej lojalności, a także do tego, że jej nigdy nie opuścimy.

Często bywa tak, że bezradna i opuszczona przez partnera matka, aby nie pozostać zupełnie sama, wyrzeka się swego gniewu tak dalece, że uznaje nas za swego zagniewanego pana, a samą siebie za sługę i winną ofiarę. W ten sposób zabiega przede wszystkim o to, żeby nie poczuć swojej agresji, a także nie wzbudzić w nas żadnych negatywnych uczuć. Spełnia wszelkie nasze zachcianki i zaspokaja potrzeby. Czasami zdejmuje z nas ciężar najprostszych nawet czynności, wszystko wybacza i nigdy się nie skarży. Bardzo szybko okazuje się jednak, że rezygnacja z siebie oraz pragnienie zaskarżenia sobie za wszelką cenę naszej miłości, a przynajmniej przychylności, rodzi w nas tylko niechęć, gniew, a nawet pogardę.

Rozważmy, jaki wpływ na dalsze życie syna może mieć przebywanie w zasięgu rozgniewanej, przemęczonej i rozczarowanej matki.

Gniew wyparty

Matka, która ustawia nas w roli zagniewanego pana, chcąc nie chcąc uczy nas, że z kobietą można zrobić wszystko, że kobieta wszystko wybaczy, a w dodatku jeszcze usłuży, wyreczy, wypierze, nakarmi, umyje, posprząta i nigdy się nie rozgniewa ani nie obrazi.

W przyszłości będzie nam trudno poczuć szacunek i miłość do kobiety, którą wybierzemy, choć w głębi serca będziemy tęsknić za tą, którą moglibyśmy pokochać i szanować. Niestety, doświadczanie tych uczuć będzie dla nas możliwe tylko w wirtualnej przestrzeni marzeń i snów. W rzeczywistości w każdej spotkanej kobiecie będziemy widzieć matkę i tak też będziemy ją traktować, bowiem miłość kobiety trwale skojarzyła się nam z jej uległością i podporządkowaniem.

Gniew nadopiekuńczości

Gdy mamy nadopiekuńczą mamę, będziemy bali się dojrzałych, samodzielnych kobiet. Może się zdarzyć, że na zawsze pozostaniemy chłopcem, bojącym się świata, bojącym się podejmować ryzyko i sięgać po wolność. Możliwe, że będziemy szarżować i szpanować, by pokazać sobie i wszystkim naokoło, jacy jesteśmy dzielni. Najprawdopodobniej jednak zapożyczone od matki przekonanie, że jesteśmy słabi, podatni na zranienia i choroby, utrudni nam bardzo wykorzystywanie naszych możliwości fizycznych i umysłowych. Będziemy stronić od sportu i od sytuacji, angażujących ciało, wymagających odwagi i determinacji. W rezultacie nasze ciało

nie rozwinie się i nie wzmocni w dostatecznym stopniu; wyjdzie na to, że mama miała rację. Gdy dorośniemy, trudno nam będzie wyzwolić nasz energetyczny potencjał, a także korzystać ze swojej seksualnej siły. Będziemy szukać wśród kobiet drugiej mamy, popadać w zależność od kobiet opiekuńczych, nie stymulujących nas do dojrzewania i seksualnie zahamowanych.

Gniew wprost

W matce niszczącej fakt, że ojciec odszedł, wyzwala tak ogromne pokłady goryczy i agresji, że nie jest ona w stanie ich ukryć ani zakamufłować. Jawnie nienawidzi nas za to, że jesteśmy dzieckiem faceta, który ją tak zranił, porzucił i upokorzył, za to, że należymy do gatunku, od którego doświadczyła tyle bólu i poniżenia. Ale my nie mamy nikogo poza nią. Musimy jakoś przeżyć, więc idealizujemy ją, zgadzając się jednocześnie na rolę ofiary i bierzemy na siebie winę za całe zło, jakie nam wyrządza. W rezultacie gromadzą się w nas ogromne ilości nieświadomej agresji wobec matki.

Efekt bywa taki, że gdy dorośniemy i zaczniemy interesować się kobietami, będziemy nienawidzić ich za to, że w naszym przekonaniu, podobnie jak matka, na pewno nie będą umiały nas pokochać, a zarazem będziemy ich bezgranicznie potrzebować i pragnąć. Nawet gdy zdarzy się taka, która nas pokocha, nie uwierzymy jej, wręcz pocujemy do niej pogardę za to, że pokochała kogoś tak marnego jak my. Nasze zachowanie wobec kobiet będzie ambiwalentne i nieobliczalne: od wybuchów niepoohamowanego gniewu i ucieczki do bezbronnego płaczu. Ale matka, ta od której najwięcej wycierpieliśmy, pozostanie na zawsze poza zasięgiem naszego gniewu.

Nasza seksualność będzie niedojrzała i załęczniona. Ten lęk ukrywamy za fasadą agresywności. Trudno nam będzie zdecydować się na bliski związek. Za wiele bólu doznaliśmy od pierwszej kobiety, na którą otworzyło się nasze serce. Będziemy żyć w złudzeniu, że nasz świat jest uporządkowany i wiemy, jak sobie z nim radzić. Z czasem z ofiary przekształcimy się w kata, a tak da się żyć. Ofiary zawsze się znajdują. Jest ich mnóstwo wśród dorosłych dziewczynek.

Odchodzenie od matki

W legendzie, którą w książce „Żelazny Jan” interpretuje Robert Bly, najważniejsza jest tytułowa postać Jana - Dzikusa, reprezentującego archetyp męskości.

Siedzibą Jana są niedostępne leśne bagna. Tam wytropił go kiedyś młody książę i zapragnął poznać. Król jednak ubiegł syna i zamknął Jana w klatce na zamkowym dziedzińcu. Książę chciał go uwolnić, ale żeby to zrobić, musiał zdobyć klucz od klatki. Dzikus podpowiedział księciu, że klucz znajduje się pod poduszką matki, w sypialni rodziców, i właśnie stamtąd trzeba go wydostać. Gdy książę tego dokona, będzie mógł udać się z Dzikusem w dalszą drogę i uczyć się od niego.

Ponieważ autor nie zajmuje się tym, jakie przeszkody mogą stawać na drodze chłopca, zamierzającego wykraść klucz do męskości z sypialni matki, pozwólmy sobie na bardziej szczegółową analizę.

Przede wszystkim bardzo znaczący jest fakt, że klucz znajduje się pod poduszką matki, w sypialni rodziców. Żeby go wydostać, trzeba wejść tam, gdzie matka kocha się z ojcem, a więc objawia swoją seksualną kobiecość. To już nie jest matka z kuchni, z salonu, pomagająca w lekcjach, wyprowadzająca na spacer czy przynosząca ulgę w chorobie. W sypialni rodziców możemy spotkać matkę zmysłową, szaloną, spontaniczną i wolną. W dodatku istnieje ryzyko natknięcia się na ojca, który strzeże przed nami tajemnicy rodzicielskiego łoża.

Wejście do sypialni oznacza konieczność przyznania się przed sobą do naszych seksualnych pragnień, związanych z matką, i pokonania lęku przed ojcem, który może za karę pozbawić nas męskości, upokorzyć i zniszczyć.

Wyprawa jest bardzo niebezpieczna. Szczególnie wtedy, gdy ojca nie ma. Chociaż, jeśli

nawet jest obecny, to i tak niewiele to ułatwia. Gdybyśmy zobaczyli kochających się rodziców, odkrylibyśmy z bólem, że ani ojciec, ani matka tak spontanicznie i z taką energią nigdy się z nami nie kontaktowali, że nie jesteśmy wcale tacy ważni.

Gdy ojca nie ma, gdy jak zwykle jest w pracy albo w barze, albo na wojnie, w domu zostaje wytęskniona, opuszczona, zagniewana matka. Dobrze zdaje sobie sprawę z tego, że klucz do naszej męskości znajduje się pod jej poduszką, ale nie chce nam go oddać, zwłaszcza pod nieobecność ojca. Wie, że na dodatek utraciłaby syna i została zupełnie sama.

Przyjrzyjmy się temu, jakiego arsenału środków może użyć matka, gdy przyłapie nas na próbie wykradzenia klucza spod jej poduszki. Rzadko się zdarza, żeby jakaś rzeczywista matka użyła wszystkich tych sposobów. Na ogół wybiera jeden z nich, a najwyżej dwa lub trzy.

Pierwszym działem, które wytacza, jest działo opiekuńczości, czyli „upupiania syneczka”. Matka chwyta nas w ramiona i mówi: „O mój syneczku, przecież ty jesteś taki biedny i słaby, a świat jest taki groźny, niebezpieczny, trudny, dokąd ty się wybierasz? Zostań z mamą, będzie ci ciepło, miło, przytulnie, bezpiecznie. Połóż się, poczytam ci bajeczkę, pocałuję w czołko, zaśpiewam, a ty uśniesz blisko mnie. Po co ci ten klucz?”

Musimy przejść tę pierwszą próbę i nie dać się złapać w matczyną pułapkę. Nie jest łatwo przeciwstawić się jej prośbom. Takie są słodkie i wciągające, że trzeba sięgnąć po ogień w naszym brzuchu, żeby móc powiedzieć: „Nie jestem żadnym małym syneczkiem. Nie dotykaj mnie tak i nie mów tak do mnie.” Zaczynamy tak mówić w 10-12 roku życia, bo chcemy się odróżnić i oddzielić od matki, od jej czułości, od bycia traktowanym jak małe dziecko, ale w zaciszu sypialni, nie widziani przez nikogo, nadal gotowi jesteśmy na wiele jej pozwoleń. Pierwszym przejawem gotowości do wkroczenia w świat męski jest bunt przeciwko jej pieśczołliwej postawie wobec nas.

Wtedy matka musi sięgnąć po kolejną broń. Broń zastraszania i upokarzania. Dowiadujemy się wówczas, i jest w tym ton pogardy, że nic nie jesteśmy warci, że niczego nie umiemy, że nie mamy sobie rady w życiu. Nikt nas nie będzie chciał. Musimy pokonać i tę przeszkodę, jeśli zależy nam na kluczu.

Jeśli się uda, staniemy przed kolejnym wielkim niebezpieczeństwem. Matka będzie próbowała nas uwieść. Powie wtedy: „Połóż się przy mnie, możesz mnie dotknąć, poczuj, jak ładnie pachnę. Może chciałbyś mi uczesać włosy, a może umyć plecy? Zobacz, jaką mam nową sukienkę. Zamknij oczy, bo muszę się przebrać, ale nie musisz wychodzić z pokoju. Tata jest daleko. Wiesz, jaki on jest. W ogóle nie mogę na niego liczyć. To ty jesteś moim małym mężczyzną.”

Nie ma tu dobrej drogi.

Jeśli sięgniemy po ten zakazany, słodki owoc, możemy zostać śmiertelnie ugodzeni odrzuceniem, kpina i pogardą matki. Gdybyśmy nawet zostali - nie daj Boże - przyjęci, byłoby nam bardzo trudno kiedykolwiek od niej odejść. Nie mówiąc już o naszym poczuciu winy wobec ojca i lęku przed jego zemstą.

Jeśli ją odepchniemy, grozi nam straszny gniew, zrodzony z matczynej urażonej dumy i próżności. Niełatwo się na to zdobyć, gdy nie ma ojca w pobliżu.

Gdy przejdziemy tę próbę, możemy zderzyć się z matką-biedactwem i usłyszeć: „Synku, nie możesz mnie zostawić, jestem taka biedna, samotna, smutna i chora. Nie przeżyję tego, gdy odejdziesz. Ojciec mnie zostawił, teraz ty mnie zostawiasz. Nie zrobisz mi tego, obiecywałeś mi tyle razy, że nie będziesz taki jak tata.” Niełatwo się z tego wywikłać. Poczucie winy wiąże nam ręce i nogi. Musimy jednak odejść, mimo że nasze serce będzie płakać. Czasami matka może mówić prawdę, powinniśmy jednak wiedzieć, że jeśli pozostaniemy z nią, to i tak nie będziemy w stanie dać jej opieki, której potrzebuje, ponieważ nie staniemy się mężczyzną, a tylko mężczyzna może takiemu zadaniu podołać.

W końcu nadejdzie próba ostatnia. Matka przeistoczy się w demona, zacznie walczyć, ciskać gromy i zionąć nienawiścią. Wpadnie w szał. Konfrontacja z nagromadzonym przez lata

potężnym ładunkiem matczynego gniewu i zawodu może być dla nas przerażającym doświadczeniem. Po raz pierwszy w życiu matka w tak oczywisty sposób stanie się naszym wrogiem. Jeśli nie zadamy jej bólu, przegramy. Niełatwo jest zadać matce ból. Mimo to musimy wyrwać klucz spod jej poduszki i uwolnić naszego wewnętrznego Dzikusa. Na odchodne usłyszymy jeszcze: „Skoro tak, to nie jesteś już moim synem.” Ten ostateczny wyraz matczynego rozżalenia i gniewu nie jest szantażem, który miałby nas w ostatniej chwili zatrzymać. Ona ma rację. Albo męskość, albo mama. Gdy w końcu od niej naprawdę odchodzimy, wtedy wreszcie przestajemy być dzieckiem.

Jak pomóc synowi

W naszych warunkach kulturowych inicjacja jest bardziej procesem niż jednostkowym wydarzeniem, co dodatkowo podkreśla odpowiedzialność ojca za wychowanie syna. Optymalny proces pomagania synowi w przeistaczaniu się w mężczyznę można umownie podzielić na trzy fazy.

Pierwszy etap to nasza obecność w okolicach kołyski w początkowych latach jego życia. Jak już wiemy, stwarza to nowonarodzonemu chłopcu nadzieję, że wyjdzie kiedyś ze świata matki. Daje okazję do czerpania pierwszych wzorów i przeżywania pierwszych satysfakcji z kontaktu z nami, mimo że zostawiamy go matce, bo nie mamy maleństwu zbyt wiele do zaoferowania. Ale przez sam fakt, że nie opuszczamy syna fizycznie i emocjonalnie, poświęcamy mu czas i uwagę, dajemy świadectwo temu, że jest dla nas ważny. To my powinniśmy dbać o tak zwane chłopięce przedszkole: naukę jazdy na rowerze, naukę pływania czy gry w piłkę. To my jesteśmy od organizowania pierwszych wypraw, przygód i ryzykownych sytuacji. Od opowiadania pierwszych baśni i mitów o wyzwaniach i manowcach chłopięcego oraz męskiego życia. To wszystko jest niezbędne, jeśli dalszy proces dorastania naszego syna ma przebiegać we właściwy sposób.

Następny etap zaczyna się od momentu, w którym chłopiec wychodzi spod skrzydeł matki i przechodzi pod opiekę ojca. To odpowiednik starodawnych postrzyżyn. Ojciec naprawdę bierze odpowiedzialność za dalsze wychowywanie syna. W dawnych dobrych czasach postrzyżyny miały miejsce około szóstego roku życia. Bardzo wcześnie, jak na współczesne obyczaje i przyzwyczajenia. Ale to dobry moment. Chłopiec idzie do zerówki, potem do pierwszej klasy. Wyrusza w skomplikowany świat szkoły i bardzo jesteśmy mu potrzebni.

Niestety, moment pójścia syna do szkoły nie jest przez nas na ogół zauważany. Wszystko toczy się dalej - jak zwykle. Syn pozostaje pod opieką matki, a my nie zdajemy sobie sprawy, że minęła połowa tego czasu, w którym możemy mieć wpływ na wychowanie naszego dziecka. Zostało nam 7-8 lat na to, żeby się z synem spotkać, nauczyć go świata, dać mu odczuć, że może być ważny dla najważniejszego mężczyzny w jego życiu.

W przeszłości zainteresowanie ojca synem wiązało się z koniecznością przekazywania mu dorobku życia, fachu i warsztatu pracy. Ojciec musiał syna wiele nauczyć, żeby to, czego dokonał, nie zmarnowało się. Musiał poświęcić mu wiele czasu, uwagi i wysiłku. Wysiłek wychowania i edukacji, jaki ojciec podejmował wobec syna, był jednocześnie wyrazem odpowiedzialności za rodzinę. Ojcu zależało na tym, aby jego rolę przejął odpowiedzialny, przygotowany do tego mężczyzna. W czasach, gdy państwo nie zdejmowało dzieciom z barków opieki nad seniorami, musiały być one przygotowane do tego, żeby dawać wsparcie starym rodzicom. Sytuacja zewnętrzna, w jakiej wówczas funkcjonowała rodzina, czyniła z niej autonomiczny organizm: solidarny, spójny i odporny, zdolny do przetrwania we wrogim, nieprzychylnym otoczeniu. To pozytywnie oddziaływało na związki ojca z synem (z pewnością również matki z córką). Stwarzało konieczność dokonywania przekazu męskości z ojca na syna.

Współcześnie zanika gatunek ojców - postaci w pełni autonomicznych i niezależnych - którzy potrafią wybudować dom, polować, hodować, uprawiać, naprawiać, bronić, uczyć, śpiewać i

tańczyć, a w dodatku doceniać syna. Dotyczy to przede wszystkim dominującej w naszych czasach kultury miejskiej. Urbanizacja i industrializacja, opiekuńcza funkcja państwa, to wszystko, co jest dorobkiem naszych czasów, radykalnie zmienia tradycyjny model rodziny, jej strukturę i sens istnienia. Istnienie i trwanie rodziny w coraz większym stopniu opiera się na jej oddziaływaniu psychologicznym i emocjonalnym. Trwałość rodziny nie jest już wymuszana, a też w coraz mniejszym stopniu wspierana przez okoliczności zewnętrzne, choćby takie jak zagrożenie fizyczne czy ekonomiczne. Jej przetrwanie zależy coraz bardziej od siły emocjonalnej i duchowej więzi łączącej tych, którzy ją tworzą.

W tradycyjnym sensie ojciec staje się coraz mniej potrzebny. Nie musi już budować, hodować, bronić. Coraz częściej nie musi nawet zarabiać, bo żona zarabia tyle samo albo więcej. Ojcostwo i rodzina stają przed zupełnie nowymi wyzwaniem. Ciężar sprawy przenosi się ze sfery materialnej i z obszaru konieczności w obszar uczuć, więzi i odpowiedzialności. Społecznym rodziny nie jest już konieczność zapewnienia jej członkom fizycznego przetrwania. W coraz mniejszym stopniu jest też nim potrzeba budowania znaczenia, mocy i prestiżu.

W naszych czasach rodzina nabiera ogromnego znaczenia jako niezastąpione środowisko rozwijające i kultywujące przymioty serca, w szczególności zdolność do kochania i dawania, do dobrowolnego poświęcenia, współczucia i troski o innych. Wygląda na to, że w tym właśnie ojcostwo powinno się obecnie realizować i wyrażać, w tym współczesny ojciec powinien być dobry.

Myślę, że rozwiązaniem, po które wielu z nas, ojców, może sięgać, jest budowanie z synami wspólnych obszarów zainteresowań i wykorzystywanie czasu wolnego do tego, aby - choć w pewnej mierze - dokonywał się proces przekazu z ojca na syna. Synowie bardzo potrzebują być z nami na wyprawie, w odosobnieniu, w trudnych warunkach, gdzieś, gdzie trzeba się sprawdzić, dobrze się porozumiewać i liczyć na siebie nawzajem.

Bardzo potrzebują być z nami w domu, gdy matka pracuje, wypoczywa albo zwiedza świat. Potrzebują doświadczać męskiej samodzielności, radzenia sobie bez mamy, a także dowiadywać się tego, że matka nie jest wyłącznie od siedzenia w domu i opiekowania się mężczyznami, że ma w świecie do załatwienia swoje ważne sprawy

Ale jak ci z nas, którzy sami nie mieli takiego ojca, mają poczuć taką potrzebę. Dobrze jest szukać okazji, które pomogłyby nam odnaleźć w sobie tęsknotę za tym, co nas samych nie spotkało. Jeśli tę tęsknotę w sobie znajdziemy, to będziemy wiedzieli, że nasze dzieci tęsknią za tym samym.

W trudnej sytuacji są ci z nas, którzy są bardzo zapracowani - a takich jest na pewno większość. Musimy zdobyć się wtedy na pokonanie w sobie zmęczenia i niechęci do kontaktu z kimkolwiek, nawet z własnymi dziećmi, na pokonanie nieprzeparanej potrzeby zalegania przed telewizorem czy przeglądania gazety, i uchronić te bezcenne godziny, które zostają w życiu, aby coś zrobić z dziećmi. Dać im poczucie, że są na tyle ważne, iż jesteśmy gotowi z czegoś dla nich zrezygnować. Wtedy ten czas zawsze się wypełni, coś się wydarzy, pojawi się okazja, żebyśmy się pokazali dzieciom od nieznanego im strony i czegoś je nauczyli.

Tworzenie okazji do prawdziwych doświadczeń jest bardzo ważne w drugiej fazie dorastania syna, w okresie 7-14 lat. Możliwości istotnego, psychicznego oddziaływania na syna kończą się nieodwołalnie w 16-17 roku życia. Zostało nam siedem lat. To mało, szczególnie jeśli wcześniej poświęciliśmy mu niewiele czasu i uwagi. Mało, żeby naprawdę być z dzieckiem, stawać się dla niego pozytywnym wzorcem przynajmniej w jakimś wybranym obszarze życia.

Na ogół syn widzi nas, gdy przychodzimy z pracy zmęczeni i rzucamy na stół pieniądze. Dla syna nie ma takich pieniędzy, które by mu wynagrodziły naszą nieobecność. Lepiej się pozbyć co do tego wszelkich złudzeń

Deficyt pozytywnych wzorców sprawia, że jako ojcowie jesteśmy często bezradni w proponowaniu synom czegoś innego niż zarabianie, a potem kupowanie. Trudno nam znaleźć jakąś inną niż pieniądze i pozycja formę wyrazu dla naszej ojcowskiej mocy i autorytetu

Najłatwiej jest nam pokazać synowi, na co nas stać, poprzez wydawanie pieniędzy

Inny, jeszcze bardziej niebezpieczny, pieniący się z szybkością chwastu, jest wzór mężczyzny, pozbawionego przymiotów serca i zdolności do refleksji, takiego, który zachowuje się nieobliczalnie i z łatwością zabija. Nie potrafi nikogo pokochać ani uznać, że ktoś albo coś może być ważniejsze niż on sam. Jego życie emocjonalne zostało całkowicie zawładnięte przez pojawiające się na przemian gniew i apatię. Nie mylmy go z dobrym kowbojem z klasycznego westernu, który też potrafił strzelać i zabijać, kiedy trzeba było, ale nie robił tego dla pieniędzy, sławy czy przyjemności. Jeśli zabijał, czynił to niechętnie i tylko w imię wyższych wartości lub mniejszego zła.

Odpowiedzialność za poszukiwanie alternatywy spada na barki każdego mężczyzny, który wchodzi w dorosłe życie. Każdy z nas na własną rękę musi szukać okazji i sposobów na zdobycie - przynajmniej we własnych oczach - pieczęci męskości, której istota przekraczałaby zarówno stereotypy kultury masowej, jak i nasze psychologiczne dziedzictwo. Jeśli nam się to choć trochę uda, będzie łatwiej wziąć odpowiedzialność za dorastającego syna.

Często dopiero gdy syn ma 15-16 lat i jest już strzałą wystrzeloną z łuku, zaczynamy się nim naprawdę interesować. Na ogół wyłącznie z tego powodu, że sprawia kłopoty. Pozbawiony do tej pory kontaktu z ojcem, chce zacząć radzić sobie z życiem, odseparować się od matki, wyjść z domu. Szuka swoich wzorców, szuka wsparcia i zdarza się, że angażuje się przy okazji w ryzykowne, czasami niedobre, sytuacje. Zaalarmowani, wkraczamy po raz pierwszy w życie syna, ale wkraczamy za późno. Na ogół więcej psujemy niż naprawiamy. Nie byłoby za późno, gdyby dwie wcześniejsze fazy procesu towarzyszenia synowi w jego dążeniu do męskości miały właściwy przebieg. Teraz jest trudno, bo trzecia faza tego procesu opiera się na zaufaniu i szacunku. To mało popularny i mało znany pogląd, że syna w wieku 15-16 lat należy obdarzać szacunkiem i zaufaniem. Nie możemy go już wychowywać tak jak dotąd. Nie jest już dzieckiem, więc stosowanie nakazów i kar odbiera jako upokorzenie. Może to skończyć się ostrą walką i albo syn zostanie z przetrąconym kręgosłupem na resztę życia, albo da nam szkołę na zasadzie: „Skoro nie potrafiłeś mnie kochać i nie miałeś dla mnie czasu, teraz będziesz się o mnie martwić.” Ta strategia jest bardzo trudna do przełamania i może eskalować w nieskończoność. Nie ma wyjścia. Musimy zdobyć się na budowanie partnerstwa ze swoim synem. Jeśli w porę tego nie zrobimy, na zawsze stracimy tę szansę. Gdy syn znika w swoim środowisku, to znaczy, że wyczerpały się możliwości wpływania na jego losy poprzez spędzanie z nim czasu.

Od tego momentu w jeden tylko sposób możemy wychowywać syna - przykładem własnym i przykładem swego życia. Wcześniej pomagał nam lęk syna przed ojcowskim autorytetem i związany z tym kredyt zaufania, umożliwiający praktykowanie na synu naszych metod wychowawczych.

Gdy chłopak ma 15-16 lat, przestajemy mieć mandat na wychowywanie go. Po raz pierwszy zdajemy egzamin przed naszym synem, krytycznie przyglądającym się temu, na ile nasze życie i my sami spełniamy swoje wychowawcze i światopoglądowe postulaty. Gra się skończyła. Jak w pokerze, musimy pokazać, co mamy w kartach i jak dalece blefowaliśmy. Idzie o wielką stawkę. Albo pokażemy klasę i wyjdziemy z twarzą, zachowując synowską miłość i szacunek, albo go ostatecznie rozczarujemy. Wtedy po latach możemy najwyżej liczyć na współczucie.

Pewien ojciec odszedł od syna i jego matki, gdy ten miał zaledwie rok. Pojawił się z powrotem po kilkunastu latach ciężkiej pracy nad sobą, skruszony, ale i bardzo zadowolony, że zdobył się na taki krok. Chciał odegrać jeszcze pozytywną rolę w życiu syna. W głębi duszy oczekiwał ze strony rodziny wyrazów uznania i wdzięczności, a przynajmniej miał nadzieję, że się ucieszą. Trudno mu więc było pogodzić się z tym, że jego powrót w nikim nie wzbudził specjalnego entuzjazmu, szczególnie w synu, który od lat nosił w sercu żal i gniew do ojca. Po jego powrocie wyrażał je oporem i biernością, zaniedbaniami, niechęcią do nauki, do robienia czegokolwiek. Wszystko było w nim na „nie”. Sfrustrowany ojciec robił, co mógł, aż w końcu, kierowany poczuciem winy, pomieszany z bezradnością, obiecał synowi, że wyjedzie z nim na

wakacje za granicę. Oczywiście pod warunkiem, że poprawi się on w nauce i spełni różne inne wymogi. Kiedy przyszedł czas płacenia za wycieczkę, zaszokowany ojciec stwierdził, że syn buchnął mu sporą część pieniędzy na ten cel przeznaczonych. Zły i rozżalony poszedł poradzić się swojego przyjaciela, co z tym zrobić. Zaniepokojony demoralizacją syna, chciał się dowiedzieć, jakie represje i kary zastosować, żeby skutecznie wyprowadzić dziecko na dobrą drogę. Ku jego zaskoczeniu przyjaciel po krótkim namyśle powiedział: „Zaproś syna na obiad do dobrej restauracji. Gdy już zjecie i wypijecie, popatrz mu w oczy i zapytaj: «Synu, ile jeszcze jestem ci winien?» A potem zabierz go na obiecaną wycieczkę.” Podobno ojciec znalazł w sobie siłę, żeby postąpić, jak mu doradzono. Syn, zaskoczony i zbudowany klasą ojca, odpowiedział: „Jesteśmy kwita. Ty mi ukradłeś dzieciństwo z ojcem, ja tobie forszę.” „No to jedziemy na wakacje”, powiedział ojciec. I obaj ze łzami w oczach padli sobie w ramiona.

Odsłonięcie prawdy o sobie, przedstawienie się synowi w sposób szczerzy i otwarty, jest bardzo trudnym, ale jakże ważnym wyrazem naszej więzi z nim, naszego szacunku i zaufania. Uderzmy się w piersi. Nie udawajmy, że wiemy, jeśli nie wiemy, tylko przyznajmy, że szukamy. Przyznajmy się do swego bólu, tęsknoty i wątpliwości - nie tylko przed synem, ale i przed sobą.

W ten sposób możemy pokazać mu, że jest dla nas ważny. Myślę, że jest to najlepsza rzecz, jaką możemy zrobić dla dorastającego syna: dokonać przekazu tęsknoty za własną legendą - jak to nazywa Paulo Coelho w książce „Alchemik”.

Niestety, zbyt wielu z nas, ojców, przedwcześnie prezentuje synom twarz tego, który odkrył prawdę i wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Gdy coś nie jest naszym prawdziwym doświadczeniem, wtedy po to, aby samego siebie i nasze otoczenie utrzymać w przekonaniu, że wiemy, musimy stać się dogmatykami, głoszącymi pseudo prawdę jako coś ostatecznego. W ten sposób zamykamy synowi drogę do dalszych, samodzielnych poszukiwań i w dodatku tracimy jego szacunek.

Tu można przytoczyć historię z mojej książki „Jak wychować szczęśliwe dzieci”, zamieniając uczestniczki dialogu na ojca i syna. Ojciec rozmawia z synem i mówi mu, jak ma żyć. Syn zniecierpliwiony czeka, aż ojciec skończy, i pyta: „Co daje ci prawo pouczania mnie, jak mam żyć?” Na to ojciec: „Zależy mi na tym, żebyś był szczęśliwy, żeby twoje życie miało jakiś sens, było mądre i bezpieczne. Poza tym jestem twoim ojcem i kocham cię.” A syn na to: „To jeszcze za mało, żebyś mógł mi mówić, jak mam żyć.” Ojciec ze zdziwieniem: „Czego więcej trzeba?” Na to syn: „Tego, ojczu, żebyś był człowiekiem szczęśliwym i spełnionym. Gdyby tak było, mógłbym cię posłuchać.”

Im bardziej niespełnione i nieszczęśliwe jest nasze życie, tym bardziej dogmatycznie, z tym większą determinacją, rozpaczliwie i gorączkowo bronimy swojej pseudo prawdy i doradzamy innym.

W naszych warunkach trzeci etap procesu inicjacji powinien polegać na tym, że synowie i ojcowie wspierają się w poszukiwaniach. Żeby tak się mogło dziać, trzeba byśmy my, ojcowie, nie spoczywali w wysiłkach znalezienia swojej prawdy. W wysiłkach stania się w pełni mężczyznami. I to jest najlepszy przekaz, jaki możemy w naszej kulturze swoim synom ofiarować. Przekaz poszukującego.

Nie zapominajmy o naszej legendzie, o naszej największej tęsknocie, o potrzebie dowiedzenia się o sobie tego najważniejszego, co wreszcie uwolniłoby nas od lęku. Wolność od lęku przed śmiercią, czyli męstwo, od prapoczątków było i jest podstawowym atrybutem mężczyzny. Legendy i baśnie mówią nam o tym, że gdzieś za siedmioma rzekami, za siedzioma górami albo jeszcze dalej można znaleźć jakiś skarb, jakieś pióro czy kwiat, jakiś miecz albo drogocenny kamień, świętą wodę czy klucz, który otworzy nam drzwi do życia bez lęku. Lęk jest bowiem dla nas, mężczyzn, czymś upokarzającym, czymś nie do pogodzenia z naszym przeczuciem tego, kim naprawdę jesteśmy. Ten lęk jest źródłem wszelkich innych lęków. Dlatego wszystkie inicjacyjne procedury stosowane w dawnych, mądrych kulturach stwarzały okazję, żeby przekroczyć lęk przed śmiercią - czyli umrzeć za życia.

Bardzo wielu z nas, zwłaszcza tych młodszych, uprawia ekstremalne sporty, których atrakcyjność polega na tym, że pozwalają doświadczyć lęku przed śmiercią. Czy jest to bungeejump, czy skoki z opóźnionym otwarciem spadochronu, czy surfowanie w powietrzu, czy skoki z dużej wysokości do wody, czy jazda na nartach w szczególnie niebezpiecznych warunkach. Coraz większe szybkości w wyścigach samochodowych, nurkowanie na dużych głębokościach, wspinaczka po stromych, lodowych ścianach czy samotna żegluga po groźnych wodach. Wszędzie tam przejawia się nasza ogromna potrzeba wchodzenia w kontakt z tym podstawowym lękiem, podjęcia wyzwania, jakie rzuca nam śmierć.

Wielu z nas, uprawiających sporty ekstremalne, angażujących się w sytuacje, wymagające długotrwałego skoncentrowania uwagi i dania z siebie wszystkiego, może przeżyć wyzwajające doświadczenie przekroczenia znanego nam, skoncentrowanego na sobie, sposobu istnienia. Ale jest w tym również poważne niebezpieczeństwo. Te sposoby przekraczania lęku mogą równie dobrze sprowadzić nas na manowce wzorców męskich, opartych na zaprzeczaniu lękowi, na znieczulaniu się na lęk. Wtedy problem lęku przed śmiercią rozwiązujemy, negując życie. Możemy stać się ludźmi, którzy mają je w pogardzie i dlatego ani nie boją się sami umrzeć, ani nie boją się zabijać innych. Nie ma to jednak nic wspólnego z prawdziwą męskością, z prawdziwym człowieczeństwem.

Mędrcy, mistycy, mistrzowie sztuk walki i mistrzowie sztuki życia wszelkich czasów i tradycji potwierdzają jednogłośnie: tylko niewyobrażalne doświadczenie nieskończoności i wszechobecności życia uwalnia nas od lęku przed śmiercią. Ktoś mądry powiedział: „Jeśli umrzesz, zanim umrzesz, to nie umrzesz, gdy umrzesz.” Czyż nie jest to właściwa odpowiedź na pytanie, jak przestać bać się śmierci? Czyż nie jest to najbardziej lakoniczne ujęcie istoty inicjacji? Zatem, kim jest ten, kto musi umrzeć, zanim my umrzemy, po to, abyśmy nie umierali, gdy będziemy umierać? Niewątpliwie chodzi o wszystkie nasze złudzenia i iluzje na własny temat, oraz nierozłącznie z nim związane bolesne poczucie odrębności. Poczucie zamknięcia we własnym ciele i doświadczanie życia z oddali, poprzez szklaną przegrodę źrenic, membranę uszu czy kombinezon skóry. Gdy to poczucie umrze, wtedy dopiero naprawdę przestaniemy bać się śmierci. Nie przez zanegowanie życia, przeistoczenie się w nie czującego nic zombi czy cyborga, tylko przez całkowite pojednanie z życiem.

Powtórzmy: prawdziwa inicjacja to inicjacja duchowa. Wszystko, co przed nią lub zamiast niej, jest udawaniem i wymyślaniem. W skrytości ducha podejrzewamy, że tak jest, a czasami odczuwamy z całą mocą ból i rozpacz naszego istnienia, jako wymyślonych istot w wymyślonym świecie. W odniesieniu do naszych poszukiwań inicjacyjnych oznacza to konieczność rezygnacji z wszelkiego stereotypowego pomysłu na bycie mężczyzną, czyli zgody na naszą całkowitą bezradność i niewinność. To trudne.

Przecież w głębi serca tęsknimy właśnie za tym, abyśmy mogli śmiało kochać, cieszyć się, wruszać, płakać, szaleć, walczyć, wolni od wszelkich stereotypów i strategii przetrwania, abyśmy mogli w zgodzie z okolicznościami pozwalać sobie na słabość i czułość, a także na słuszny gniew, zdecydowanie i siłę - a nade wszystko, abyśmy mogli odkryć naszą prawdziwą, najgłębszą istotę, spokojną, pełną współczucia, samotną, jedyną i prawdziwą, która nigdy nie miała ojca ani matki.